Nr. 2. Lwów, 8. Października 1899. **Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIII.**

Numer pojedyńczy **20 ct.** z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

wychodzi na każdą niedzielę.

Ogłoszenia po 8 ct. od wiersza petitowego. Reklamy po 20 ct. 30 ct. i 50 ct. od wiersza.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *8 zł.*, półrocznie *4 zł.*, kwartalnie *2 zł.*, miesięcznie *70 ct.* W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie*. Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniczne. — Prenumeratorowie ***roczni*** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

Redakcja i Administracja ***Tygodnika Narodowego*** *we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

Po zjeździe.

Należymy do tych, którzy wszelką solidarność w dobrem uważają za dodatni i pożyteczny objaw. W zakresie spraw politycznych taka solidarność jeszcze większą posiada doniosłość, a gdzie ona jest wywołana potrzebą, obroną tego, co człowiekowi jest najświętszem — staje się, nietylko koniecznością, lecz i obowiązkiem.

Za taki, właśnie, objaw poczytujemy solidarność narodów słowiańskich, a ostatni zjazd dziennikarzy w Krakowie był jego widzialnym i praktycznym wyrazem.

Śledziliśmy też z wytężoną uwagą wszystko, co się na nim działo i w ogóle rzecz biorąc, zrobił on dodatnie wrażenie, ale bezwarunkowo wskazana była silniejsza i wyraźniejsza stanowczość w tym kierunku, w którym, gdy się mówi o prawdzie, sprawiedliwości, krzywdzie, dwóch zdań być nie może, a jeśli są, to jedno z nich: złe, zwalczać należy bezwzględnie i z całą siłą.

Słusznie poseł Horzica powiedział, że sojusz czesko-polski, jest zbyt jeszcze młody, aby już mógł przynieść owoce i, że za jakie lat dziesięć będzie można dopiero wskazać na to, co on zdziałał. Prawda — ale — czy dlatego, co ma zdziałać, powinno się omijać ostrożnie to, co musi być usunięte bezwarunkowo, jeśli, solidarność słowiańska ma być niczem innem, tylko wielką, silną, pomocną ręką do wzmocnienia indywidualności narodowych w Słowiańszczyźnie?

Nam się, właśnie, zdaje, że postawienie kwestji jasno, choć na razie, dziś, nieda praktycznych owoców, powinno być początkiem tego, co się ma robić i jak ma robić, a jakieś półśrodki dyplomatyczne, nietylko, że do niczego nie prowadzą, lecz wyradzają sytuację nie zdrową, brak jej szczerości, a co za tem idzie, tworzy się atmosfera polityczno - dyplomatycznej kurtuazji, która się psu na budę nie zda.. Tak się stało na zjeździe ze sprawą polsko-rosyjską. Pan Rozwoda śmiało i słusznie wystąpił w tej sprawie. Należało ją, zatem, podnieść i poprowadzić przez dyskusję, a nie z pewną lękliwością obchodzić i dotykać jej we fraku i rękawiczkach. Dopóki panuje ucisk i bezprawie praktykowane na narodzie polskim przez państwo rosyjskie, a popierane, z małym wyjątkiem przez dziennikarstwo rosyjskie, solidarność słowiańska, rozumna, uczciwa i patrjotyczna, musi być zwróconą przeciwko Rosji. Ponieważ zarzut popierania takiej polityki ucisku zrobiony był wprost czeskim *Narodnim Listom*, należało, właśnie, w tym kierunku wywołać szeroką dyskusję, a nie omijać jej. A już oświadczenie któregoś z panów redaktorów *Narodnich Listów*, że wystąpienie p. Rozwody, „przyjmuje do wiadomości", wydaje nam się wprost komicznem komunałem parlamentarnym, praktykowanym przez ministrów, gdy nie wiedzą, co powiedzieć, a nie przez dziennikarzy świadomych celu i przekonań.

My, polacy, ze swojej indywidualności narodowej, nie damy jednego włosa polskiego na rzecz takiej Słowiańszczyzny, któraby miał wpakować się w brzuch Rosji.

Może być, że w poufnych kółkach sprawa polsko - rosyjska była omawiana — ale zjazd nie miał charakteru poufnego i szeroka publiczność powinna się była dowiedzieć, jak to dziennikarze słowiańscy, nie znajdujący się w bezpośrednim stosunku politycznym z Rosją, zapatrują się na tę sprawę... Publiczność dowiedziała się tylko, że czesi... dyplomatyzują, a inni uczestnicy nie wiedzą sami, co z tym faktem zrobić... I nic nie zrobili...

Byłoby dobrze, aby na przyszłym zjeździe w Zagrzebiu sprawa polsko-rosyjska, jako na gruncie neutralnym, była poruszona z całą jasnością i stanowczością, a jeszcze byłoby lepiej, żeby zjazd wszystkich dziennikarzy słowiańskich, a zatem i rosyjskich odbył się np. w Szwajcarji, gdzie możemy sobie, w obec całego świata wszystko powiedzieć do oczów. Niech narody wiedzą co się święci w tych państwach i społeczeństwach, które na ustach mają chrześcijanizm i cywilizację, a w praktyce są ich zaprzeczeniem.

Po za tą sprawą polsko-rosyjską, która stanowi słabą stronę zjazdu, wszystkie uchwalone rozolucje zasługują na zupełne uznanie, a jeden z wyników zjazdu praktyczny: powstanie biura informacyjno-korespondencyjnego w Krakowie dla spraw słowiańskich narodów — uważamy za fakt doniosłego znaczenia i cieszymy się, że kierownikiem tego biura, jest tak wytrawny i dzielny dziennikarz, jak p. Hopcas.

Dola i niedola nauczycielstwa ludowego.

(Dok. Patrz Nr. okazowy).

Nie wszystkie to jeszcze przykrości i smutki, któreśmy dotychczas wyliczyli, biją o nieszczęsne, często głodne egzystencje nauczycielstwa ludowego. Formalistyka władz austrjackich utrudnia nawet odebranie tych mizernych groszy, za które kupić musi chleb powszedni. Każdy *pierwszy* w miesiącu przenika dreszczem nauczyciela, czy nauczycielkę ludową. Urzędy skarbowe bowiem po miasteczkach, nie odsełają pensji nauczycielom, ale nauczyciele muszą po nie udawać się o kilka mil z kwitem ostemplowanym. Tak więc z tej mizernej płacy trzeba opłacić jazdę do miasteczka. Przejazd taki kosztuje stosownie do odległości dwa guldeny, lub więcej. A teraz pytanie, kiedy jechać po tę mannę? W niedzielę i święta pojechać nie można, bo urząd podatkowy nie wyda. W powszednie dnie jechać nie wolno, gdyż jest nauka. Kiedy zatem? Nikt o tem nie pomyślał. A jednak, czyliżby nie można wprowadzić jakiejś reformy, ażeby utrapiony rozlicznymi kłopotami nauczyciel, mógł otrzymywać pensję za pośrednictwem poczty? Tylko brak myśli i dobrej woli przyczynia się do stworzenia takich utrudnień.

Nie mniejszą klęską nauczycielstwa ludowego po wioskach, jest zadanie wyżywienia się. Środki są ograniczone, bo gorzej, niż skromne, a wiktuały drogie i liche. Lud dotychczas, z małymi wyjątkami, każe sobie płacić za płody surowe na wsi więcej, niż może pobrać za to w miasteczku. Każdemu zresztą sprzeda taniej, niż nauczycielowi. Wychowawca ten przyszłych pokoleń, nie widzi często całe tygodnie mięsa w swoim garnku. Po artykuł ten trzeba posyłać do miasta i opłacać posłańca. W lecie, przy sposobności wyjazdu do miasta, zapasów robić nie można, bo przedmiot ulegnie rozkładowi. Inne artykuły, jak cukier, kawę itp. można niekiedy nabywać w Kółkach rolniczych, jeśli istnieją w danej okolicy. Zarząd centralny atoli nie wie, jakie w tych Kółkach dzieją się nadużycia na punkcie drożyzny i gatunku towaru.

Nie twierdzimy, ażeby stosunki takie miały trwać wiecznie. są nawet w pewnych okolicach chwalebne wyjątki, ale dla ogółu, dla większości, stan nad wyraz przykry jest chlebem codziennym. Za pracę ciężką i smutki, za sekatury, za poświęcenie, za ciężką niemal zawsze walkę z Radą szkolną miejscową — jakaż nagroda,

jakie moralne tylko zadośćuczynienie? Powiedzą, że nagrodę powinien nauczyciel czerpać we własnem sumieniu, w przekonaniu, iż spełnił powinność i przyczynił się do zbliżenia dnia, w którym światło rozjaśni głowy szarej rzeszy i runą uprzedzenia! Jak to łatwo wlewać otuchę w serca znękane, łatwo słowem i frazesem, który nic nie kosztuje. Pójdź atoli, szanowny moralisto, stań osamotniony pośród ludności z wymogami ludzi pierwotnych, przymieraj niekiedy głodem, patrz, jak twoje najszczersze chęci są opacznie tłomaczone, nauczaj pojony nieżyczliwością, pokazuj zawsze oblicze pogodne, choć serce się krwawi, a troska o jutro wierci w mózgu; siadaj wtedy z ochoczem sercem do poprawienia setki zadań, referuj sprawozdania do Rady szkolnej okręgowej, zachwycaj się przyrodą i na podstawie własnych spostrzeżeń, pogłębiaj wiedzę osobistą i śród tego wszystkiego rozdrażniony, wygłodzony, niekiedy znieważony, czerp otuchę, umacniaj wolę! Zapytajmy, czy możnaby więcej wymagać nawet od człowieka, któremuby zapewniono istotnie ludzką egzystencję.

Egzystencję nauczycielowi ludowemu po wsiach, utrudniają Rady szkolne miejscowe. Nie wszędzie wprawdzie, ale w takich miejscowościach, w których ksiądz, lub kto inny z inteligencji nie chce przyjąć ciężaru przewodniczącego Rady szkolnej miejscowej.

Wówczas bowiem zostaje przewodniczącym włościanin. W przeważnych wypadkach, przewodniczący ten ze stanu włościańskiego, nie umie czytać i pisać. Obowiązkiem jego między innymi, jest potwierdzenie kwitów pensyjnych nauczyciela. Lubo ma tylko położyć znak krzyża i przybić pieczęć, droży się z tem i ociąga, albowiem powiada, że nauczyciel bierze za dużo pieniędzy.

Nie jest to winą człowieka nieoświeconego, ale ta niewinność, czy naiwność nie zmienia stanu rzeczy i cierpi nauczyciel. Cierpienie bez końca nie jest stanem normalnym i zgoła nie łagodzi nerwów, mocno narażonych u każdego pedogoga. Przewodniczącemu ze stanu włościańskiego, nie może się często pomieścić w głowie, jak nauczyciel śmie podawać Radzie szkolnej okręgowej wykaz dzieci, które nie uczęszczją regularnie do szkoły. Ztąd gniewy i niechęć, lubo nauczyciel pełni jeno sumiennie obowiązek.

Nauczycielstwo ludowe jest właśnie po to, ażeby stan tak niepomyślny zmienić, poziom wyobrażeń o potrzebach człowieka podnieść i uszlachetnić. Tak powiedzą, może i wszyscy. Tak, bez wątpienia, możemy powtórzyć ze skromną atoli uwagą, że wypadałoby szczerzej, gorliwiej i wydatniej zająć się dolą nauczycielstwa. Gdyby można w procentach wykazać wspomniane cnoty, odzywające się w łonie społeczeństwa dla stanu nauczycielskiego, to pokazałoby się, że przeważna część powtarza jedynie z przyzwyczajenia hasło: oświata! ale warunków jej nie pojmuje, potrzeb nie odczuwa. Ale jeżeli na razie zdołano spopularyzować przynajmniej samo hasło, jeżeli słyszymy coraz częściej przytaczane słowa Testamentu Juliusza Słowackiego:

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei!
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec.

Jeżeli, powtórzyć można, nakaz ten podniosły znajduje uznanie, to zasługa pod tym względem dziennikarstwa. I nie można powiedzieć, że obywatelskie to działanie jest zasługą tylko postępowych, lub zachowawczych organów, bo w zasadzie uznały *oświatę* wszystkie stronnictwa i frakcje. Idzie tylko o to: jaka oświata, a powtóre: jakie dla niej warunki stworzono? Jakie stworzono — o tem się mówi, jako o stanie rzeczywistym, istniejącym, a jakieby stworzyć trzeba, albo warunki niedogodne przeobrazić — o tem, da Bóg, nieraz jeszcze mówić się będzie. Ale zanim nastąpi, co być musi, trzeba wiedzieć o wszystkich przykrych szczegółach położenia. Wracamy tedy do szczegółów. I tak naprzykład, smutek musi uciskać serca oświecicieli, gdy im zadadzą opracowania na temat hygieny. Wobec stosunków nauczycieli wiejskich, poczytać można temat taki jako ironię, nie wynikającą ze złej woli — broń Boże, ale ze zbiegu okoliczności, z położenia i z fatalnego zacofania wyobrażeń całej ludności. Niema bowiem nauczyciela, któryby dziś nie wiedział, że czystość, zdrowe powietrze, a zatem odświeżanie lokalu szkolnego, a dalej dobre i racjonalne żywienie się, utrzymuje zdrowie ludzkie. Wiedzą i o tem, że kto cieszy się zdrowiem, podtrzyma umysł jasny i swobodny, zaczerpnie sił i ochoty do pracy. Rozpisując się o tych pięknych przepisach i racjonalnych warunkach utrzymania zdrowia, uśmiechnie się boleśnie nauczyciel. Rzeczywistość bowiem, ani na jotę nie zbliżyła się jeszcze do teorji. Na odświeżenie, czyli wybielenie lokalu szkolnego, zdobywa się miejscowa Rada szkolna ledwo raz do roku, a co do żywienia się, to jak Bóg da i jak pozwolą zbyt skromne zasoby, czerpane z niedostatecznej płacy. A zabudowania szkolne, szczególniej w Galicji wschodniej? Są to przeważnie nieco większe chaty o oknach małych. W lecie można jako tako przewietrzyć klasę, czyli izbę szkolną, bo wyjęte są okna drugie, podwójne. Ale jak uzyskać w zimie powietrze świeże, gdy w ramach bez zawiasów, przybite zostaną okna z wnętrza izby? Praktyka urąga wtedy hygienie. Wiadomo bowiem, że aby wpłynąć na zmianę powietrza w lokalu, w którym często około stu płuc oddecha zatęchłem powietrzem — trzeba co najmniej przez całą godzinę zatrzymać okna otwarte. Prócz tego, na utrzymanie czystości w izbie wpłynęłoby częstsze odświeżanie, to jest, nie tylko wybielenie, ale i wymycie podłogi. Niestety, na tego rodzaju najpospolitsze potrzeby, za mały jest fundusz, przeznaczony przez Rady szkolne okręgowe. Wyziewy zatem są straszliwe, a w wielu szkołach podłoga wygląda, jak tok ubity z błota. Tak się przedstawia w rzeczywistości hygiena szkół ludowych. Można sobie wyobrazić, na jakie tortury skazane są zmysły powonienia i wzroku i co się dzieje z płucami młodych adeptów i adeptek, którym zamiłowanie albo los kazały nieść »oświaty kaganiec«.

Nic też dziwnego, że po tej ciernistej drodze wielu kaleczy się śmiertelnie, że inni uciekają szukając obowiązków, przy których pełnieniu dano możność egzystencji ludzkiej. Częste choroby obłożne i przedwczesne zgony wśród nauczycielswa ludowego, są wymownym i smutnym obrazem ich doli.

A jednak, mimo tak ciężkich warunków życia, a jednocześnie *utrudnionych* obowiązków, nie wszyscy przecie oddają się temu obowiązkowi tylko dla chleba. Wielu, bardzo wielu idzie doprawdy, jak »kamienie przez Boga rzu-

cane na szaniec« z zamiłowaniem i z zasobem pięknym wykształcenia pedagogicznego. Stwierdzili to wielokrotnie c. k. inspektorowie szkolni. Wśród nauczycielstwa ludowego zaś, większem jeszcze zamiłowaniem, poświęceniem niemal odznaczają się nauczycielki.

Jeżeli tak jest, jeżeli uznały i uznają to organa zwierzchnicze — to czemuż nie pomyślą o polepszeniu nie tylko płac, ale i warunków, w jakich kazano żyć wychowawcom i wychowawczyniom przyszłych pokoleń? Wieczne odwoływanie się na brak funduszów dostatecznych, nie uwalnia od spełnienia powinności. Powinnością zaś jest przedstawienie istotnego stanu rzeczy. Niech wie ogół, niech wie społeczeństwo, jaka jest dola ludzi, od których się wymaga, ażeby miljony dusz pogrążonych w ciemnocie, porwali ku światłu. *Teofil Szumski.*

Pogrzeb.

Obrazek brazylijski.

Napisał **Coelho Netto**,

tłomaczył z portugalskiego

Ant. Kr. Wolski.

Październik. Słońce w samo południe rozpościerało olśniewający blask po całym stepie. Nigdzie ani odrobiny cienia — wszystko odbija blaski słoneczne; jakaś leniwa ospałość, zda się opanowała wszystkie rzeczy, więżąc je w martwej nieruchomości, zkąd niewydobywał się nawet lekki szelest liści, tak przyjemny słuchowi tego, co pracuje pod palącymi promieniami słońca.

Na nieurodzajnych, nagich skałach kozy beczą melancholijnie, czasami chudy wół ukaże się z pomiędzy suchych łodyg kukurydzy, powolny i ociężały, wyciągnąwszy szyję jarzmem obtartą ryczy, a następnie pozostaje ze łbem wyciągniętym, przyglądając się niemal z przerażeniem błękitowi niebios.

Niżej zaś na szerokim pasie czerwonej ziemi, świeżo wykarczowanej i tylko co zoranej, wlecze się brona, którą leniwie, powoli, ciągną dwa woły.

Usypiająca cisza zda się spływać na palących promieniach słońca, a na rozległej płaszczyźnie nieuprawnej i pokrytej wrzosami od końca, do końca wznosiła się tylko jedna nędzna chałupa, niska, wsunięta między ogrodzenia i ukryta w zacisznym cieniu gałęzistego sadu.

Obok drogi, jak brudno żółta wstęga przerzynała step, obsadzona z obu stron kolczastymi krzakami, toczyła ociężale swe wody, jakby drzemiąca rzeka. — W rzece, w wodzie po kolana stała praczka i myła bieliznę.

Na wierzchołku pagórka, pokrytego laskiem, płonął drżący ogień jesienny, wyrzucając kłęby turkusowego dymu. Ogień ten, niewiadomo przez kogo rozniecony, płonął jak kiedyś ów krzak na górze Synai, gdzie Jehowa dyktował Mojżeszowi prawa Dekalogu.

Jacyś mali, czy też zmniejszeni przez odległość ludzie, majaczeją hen w oddali i słychać przeciągłe skrzypienie starodawnego, ciężkiego wozu, co naładowany drzewem w przejeździe wyciska głębokie bruzdy w ziemi swemi kołami.

Naraz odezwał się jakiś cienki, jękliwy śpiew, a nieco później chór podchwycił zwrotkę i powtórzył ją poważnym basem. Dwóch ludzi na koniach ukazało się z poza grobli, za nimi przewodnice: dwie spokojnie idące pobrzękując dzwonkami, następnie stado krów, wołów pokornych i powolnych podniosło tuman czerwonego kurzu na drodze, nakoniec gromada kamperów (poganiaczy) z batogami w ręku, śpiewając na nutę monotonną chór pasterski.

Stado weszło na szeroki step. Rozległy się okrzyki: eh! ahon! eh! lon! ka, ka, ka, hon? i bydło swobodnie rozbiegało się po pastwisku. Co chwila rozlegał się głuchy ryk byków jeden po drugim, to po dwóch naraz, to znów tętent przebiegających cieląt — podczas, gdy poganiacze pozeskakiwawszy ze siodeł i pozostawiwszy jednego na straży zeszli w kierunku rzeki.

Niebo od wschodniej strony zaczęło przybierać matowy kolor żywego srebra, a od stepu powiał słaby wiaterek, łagodzący cokolwiek dokuczliwy upał.

Ptaki piszczały, a w górze krążyły złowrogo kruki. Od czasu do czasu na podwórzu chaty kogut zapiał przenikliwym głosem — na co tu i ówdzie odpowiadały mu inne w krótkich, miarowych przerwach.

Czasami grzmiało, jako zapowiedź nadchodzającej burzy, ale co raz jaskrawsze i bardziej rozpalone światło, zadawało kłam tym zapowiedziom. Chmary gołębi krzyżowały się w powietrzu z wrzaskiem chrapliwym goniąc szybkim lotem w kierunku wiatru, a na podwórku chaty, pomiędzy wysoko wyrosłymi ziołami, ukazała się postać kobiety szczupłej i wysokiej. Podniosła rękę do wysokości oczu i uczyniwszy z niej daszek spojrzała na słońce, a następnie powoli zaczęła zbierać bieliznę rozpostartą na zielonym trawniku podczas, gdy chłopak biegał tam i napowrót znosząc na głowie wiązki świeżej trawy. Ptastwo domowe z krzykiem chowało się pod osłoną gałęzistych drzew sadu. Wiatr zaczął poruszać liście na drzewach i sciemniało się szybko, jak zwykło zmierzchać się podczas zimy. Jasna błyskawica przebiegła niebo obciążone chmurami. Huk grzmotów rozległ się silniej, dłuższy i bliższy. Ciężkie powietrze dusiło, a od czasu do czasu podnosił się kłąb kurzu — kręcił się i kłębił w formie lejka, którego środek wypełniały liście.

W tem odgłos dzwonu przedostał się i popłynął dźwiękiem pełnym, łagodnym i mistycznym. I rozlegał się tu coraz szerzej, nieco lękliwie, jakby przybył z daleka.

Później głos dzwonu rozlegał się silniej, jakby sercem jego poruszał podmuch wzrastającej wichury.

Dzwoniono dla umarłych. Wyprowadzono zwłoki Tesaï, starej siedemdziesięcioletniej indjanki, pochodzącej niegdyś z bardzo silnego plemienia goytakazów. Urodziła się ona i wychowała w tej miejscowości niegdyś zwanej »Taba de Itamina« z powodu ognia, co bezustannie płonął na wierzchołku wzgórza, a o którym mówiono, że to płonąca dusza poganki Tagury — zabitej w chwili, gdy składała pierwszy pocałunek na ustach kochanka. — Mściwy Tupaw uderzył ją piorunem właśnie w chwili, gdy miała oddać swą czystość dziewiczą na pastwę brutalnej żądzy jakiegoś białego awanturnika.

Prości ludzie z Itaminy szanowali i bali się starej Tesaï. — Jedni obawiali się jej czarów i klątwy, drudzy bali się nie wiedząc dlaczego, a w około jej imienia śpiewali bardowie góralscy, że — „Tesaï — matka łez — była córką Yara Poranghi i promieni sierpniowego księżyca. Przyszła na świat w piątek w nocy, podczas pierwszego piania kogutów; w młodości blask jej oczów miał moc zabijania ludzi, a nawet wzrok jej miał taką siłę, że gdy spojrzała w niebo, to gwiazdy obumierały i spadały na ziemię. To też ludzie nocą, gdy przez niebo przebiegała gwiazda spadająca, żegnali się pobożnie, przestraszeni szepcząc: »Jeszcze jedna ofiara złych oczów Tesaï«...

Wiedziano powszechnie, że Tesaï była za młodu przepiękna — ale nikt nigdy nie zaszłyszał, aby komu serce oddała i ktoś posiadł te wdzięki.

O jej włosach tak śpiewano:

„W pachnących włosach Tesaï, długich, czarnych i jedwabnych, wyrastają: róże, i gwoździki, lilije i fijołki.“

»Głowa Tesaï podobną jest do pielęgnowanego ogrodu; w jej warkoczach śpią kwiaty z zamkniętymi pączkami, a rankiem budzą się jednocześnie z kwiatami pól rozwinięte, jak one.“

Kronika niedzielna.

— Jutro ma być kronika!

— Jutro? na Boga! ależ ja nigdy nie pisałem!

— »Grześ zrobi ciasto!«

— Ależ ja nie umiem p. majorze!

Poczciwy »major« z *Tygodnika*, wsadziwszy kapelusz jeszcze głębiej na czoło, łypnął z pod okularów na mnie, nasadził sumiasty wąs w górę i groźnie machnąwszy ręką, odszedł...

Myślę sobie, z taką komendą nie ma co żartować — kochany człowiek — ale jak mnie wyzwie na parol — co będzie? »Grześ zrobi ciasto«.

Ale o czem pisać? Z przeszłości — teraźniejszości — czy przyszłości?

Może fantastyczną kronikę? Fantazje właśnie teraz w modzie. Nie dotknę nikogo, świat legendowy nie obrazi się... Ba! ale to ma być Silva rerum do *Tygodnika Narodowego* — nie może być ogólno-ludzka — lecz rdzennie nasza: *oss de ossibus* — smakować powinna, jak miód pod lipą w Czarnolesiu, ostrą, jak kosa racławicka, figlarna, jak Imci pan Zagłoba, śmiała, odważna...

Bagatela. Proszę siadać! Jakże ja to wszystko skreślę?

Siedzę, myślę, skrobię moją marną głowę...

Nareszcie zasnąłem... Nie wiem, czy to sen, czy majaczenie — ale widzę, wsuwa się jakaś postać chuda, wysoka, ruda, uczesana dziwacznie, nie brzydka, nie młoda, ale szelma interesująca — oczy wilgotne, świdrujące, ciało opięte, niby kobieta, niby mężczyzna?...

— Czy tu mieszka samiec Wicek?...

— Tak.

— Jestem samica: »Naga dusza«.

— Ale fe!

— Samiec podobno ma pisać do *Tygodnika?*

— Narodowego!

— Jakiego narodu? Przedewszystkiem samiec nie ma narodu.

— O, za pozwoleniem, my polacy — jeszcze...

— Cicho! zamknij przedewszystkiem otwór, którym metamuzykę głosu wydobywasz — widocznie nic nie czytasz, nigdzie nie byłeś, nie widziałeś nowego ruchu literackiego. Posłuchaj, jak wre, kipi, pryska — wali taranem w wasze mózgownice. Nie ma narodów, są tylko dwie płcie, które walczą, żrą się ze sobą, łączą ramiona w ekstazie miłości bezdennej — ażeby światu dać nowe formy „duszy nagiej“.

— Proszę, proszę i kiedyż koniec będzie tej walki?

— Jak długo nie zniszczymy wszystkiego, co było waszych genjuszy, cnót rodzinnych, sławę lat minionych, marzenia odzyskania niepodległości...

— My jeszcze zdrowi, nie damy się.

— Szaleńcze! Przejdź się po ulicach waszego miasta — wszędzie „nagie dusze“ — walą w waszą ziemię. Finis...

— Nieprawda! Łżesz acani!..

— Marny „Homunculus“! Gnij w lamusie ojców — szepnęła ogarniając mnie wzrokiem pogardy.

Wyszedłem na miasto, błąkałem się długo — wreszcie zatrzymałem się przed witryną księgarni. Spoglądam chciwie na prace mózgów ludzkich. Wszędzie samice rysowane, malowane, gubią się wśród dziwnych splotów, esów i floresów „nagich dusz“. Taka literatura — takie społeczeństwo. Zwiesiłem łeb — idę dalej. Tłumy snują się przedemną ubrane dziwacznie, młodzież w mundurkach ze złotymi i srebrnymi galonami przypominającymi mundury pruskich konduktorów, dygnitarze starsi w pierogach - synowie Marsa, nasi synowie, popisujący się głośno gwarą niemiecką, nasze kobiety, strojne jak kokoty wiedeńskie. Więc ja nie jestem w Polsce — to przedmieście Wiednia.

Gdzież szukać *ducha* mojego narodu, może sztuka da ukojenie.

„To co umiera w narodzie, odżyje w pieśni“.

Idę do teatru. Słucham. Ależ to nie nasza sztuka — Skandynawja, Niemcy, Francja, zatopiły kły w mózg zdolnego autora, na naszej niwie zrodzonego. Matka łotrzyca, córka megera, siostra lafirynda, ojciec kupler...

Samce i samice, rozpacz i zgnilizna. Talentu sporo — prawdy słońcem poezji oświetlonej — nie mają te „cudowne dzieci“.

Znużony — zrozpaczony, idę za miasto.

Słońce oświetlało naszą kotlinę — słyszę z dala „Anioł Pański“. Spoglądam bez wiary — w dal smutną. Wtem widzę obok robotnik murarz, odkłada kielnię, staje wyprężony z głową w górę wzniesioną, dziękując Stwórcy za dzień szczęśliwie spędzony. Wieśniak przy kopie siana odkłada grabie, ociera pot ze skroni i modli się — idę dalej i dalej... Staję przed skromnym dworkiem, starzec silny, czerstwy — staje z rodziną przed stołem nakrytym do wieczerzy — i ten dziękuje Panu Wszechświata prosząc, by to słońce jutro jego łan krzepiło.

— Więc są jeszcze ludzie prawi na ziemi naszej — nietylko samce i samice, są? Gdy tarcza słoneczna rzuciła ostatnie blaski, w świetle uroczem spostrzegłem tuż obok siebie — dziewczę prześliczne, trzymające maki i konwalję w ręku.

— Jestem „duszą Twego narodu“ — nie smuć się — szarpanina tych chorych dusz „nagich“ przeminie — Przyjdzie czas odrodzenia...

Wyciągnąłem błagalnie ramiona prosząc:

— Zlituj się! daj nam szum naszych potoków, szmer naszych lip — woń naszych kwiatów — daj ciepła, słońca, miłości i pogody ducha — daj jak najprędzej, bo zdechnąć nam przyjdzie, wśród tych pełzających „nagich“ bakcylusów.

Szamocząc — zerwałem się — sen minął — ot i *kronika* skończona.

Wicek.

Tesaja kochała kwiaty i zawsze się w nie stroiła — ale mówiono, że kwiaty z niej wyrastają.

Nocą wędrowcy, przechodzący koło rzeki widywali Tesaję tańczącą i rozmawiającą do wód i do księżyca, w jakimś dziwnem narzeczu. W dzień zaś pielęgnowała swój ogródek obok kościoła. Umarła ze starości, mówiono — i oto tam idzie jej pogrzeb, któremu towarzyszy jedyny jej przyjaciel: baran łaciaty i ci, co ją niosą, a więcej nikt. Dzwon tymczasem jęczał za pogankę, kościół błogosławił córkę barbarzyńców, ale niebo coraz bardziej zachmurzone, zdawało zamykać się, ażeby nie przyjąć do swej chwały niewiernej duszy indjanki, czarownicy, której zniszczone ciało, odbywało podróż do mogiły w starym pudle, bo nawet trumny nie dano. Dzwon jednak modlił się za tę poganke...

Naraz blask raptowny oświecił step przez krótką chwilę, dzwon ozwał się jękliwiej i w tem olbrzymi huk rozległ się w powietrzu i wstrząsnął ziemią. Niedługo za tem drugi huk i piorun rozdarł powietrze. Przelęknione woły zaczęły, co sił uciekać po równinie. W jednej chwili kamperzy wskoczyli na konie, a rozwijając lasso i prąc konie ostrogami, z gromkim okrzykiem puścili się w pogoń za uchodzącem bydłem, co zestraszone łoskotem burzy, uciekało w kierunko suchej doliny wyżłobionej pomiędzy skałami. Gruby deszcz lunął na pole tnąc trawę, sam również chłostany przez gwałtowny wicher, co teraz się podniósł. Pioruny biły jeden po drugim.

A tam stoi baran, jedyny przyjaciel Tesaï, stoi na ulewie becząc i patrzy miłosiernie na ludzi, co biegną kłusem podrzucając ciałem nieboszczki, zamkniętem w starem pudle...

A dzwon ciągle modli się za pogankę, która kwiaty kochała, nigdy nikomu nie oddała wdzięków swoich, a umarła ze starości...

Czy możemy mieć przemysł własny?

(Ciąg dal. Patrz Nr. okazowy).

Wypada równie energicznie pracować nad rozbudzeniem ducha asocjacji. W działalności humanitarnej naszego społeczeństwa, zmysł asocjacji okazał się żywotnym, zdziałał nie jedno dobre. W zadaniach realnych, które są podwaliną każdej budowy społecznej, zmysłu tego nie widać. W sprawach ekonomicznych czeka się zwykle na inicjatywę z góry, co nie jest objawem dodatnim, zwłaszcza tam, gdzie się mówi wiele o prawach politycznych obywateli. Szermierzy się o prawa wynikające z ustroju państwowego, a zaniedbuje poznanie praw przyrodzonych człowieka. Takiemi bowiem są te normy, przez które człowiek związany bezpośrednio z ziemią i przyrodą, obowiązany ją wyzyskać i nagiąć do zaspokojenia swoich potrzeb. Potrzeby zaś te mnożą się z czasem i z postępem ogólnym. *Wzrastają i zachcenia*, które, niestety! wobec braku własnej *udoskonalonej wiedzą pracy, zaspakajać musi obca praca i obca wiedza.* Dla tego tak kosztowny jest haracz, czyli danina, składana obcemu przemysłowi. On się bogaci naszym brakiem zmysłu wytwórczości; on gromadzi zasoby, czerpiąc je z różnych źródeł, gdy nasze niezmiernie już wyschły.

Nikt temu nie przeczy, wszyscy natomiast odpowiadają, że u nas brak kapitałów na dźwignięcie wielkiego przemysłu. Na to odpowiedzieć i powtórzyć wypada: brak ducha asocjacji, utrudnia większe zadania ekonomiczne. Pracować nad ożywieniem tego zmysłu, to jedno z zadań pierwszorzędnych. Ożywienie bowiem takie wiedzie już do oszczędności świadomej celu, mianowicie do powierzania jej przedsiębiorstwom wytwórczym. One bowiem i jedynie one mogą pomnożyć zasoby narodowe.

Kapitał moralny, uzbierany poświęceniami licznych pokoleń, posiadamy znaczny. Świadomość, iż mamy ten zasób, pobudza zawsze do protestów, gdy pessymiści ośmielą się wątpić o naszej przyszłości politycznej. Trzebaż więc pamiętać o tem, ażeby protesty owe nie pozostawały marnem słowem. Trzeba więc być. W warunkach dzisiejszych być, znaczy to, podjąć walkę wszechstronną, znaczy to, wyzwolić się z więzów ekonomicznych. Dziś bowiem nabycie środków potrzebnych do walki, o której pieśń narodowa mówi — jest utrudnione. Ale utrudnione tylko społeczeństwom upośledzonym ekonomicznie. Jeśli zaś jedyny ratunek tkwi w skupieniu zasobów materjalnych, w zespoleniu drobnych zasobów, by urosły takie, któreby pozwoliły na założenie fabryk i produkcję na wielkie rozmiary — to czemu nie myśleć o tem, czemu nie rozprawiać i zastanawiać się? Myśl podjęta i rozpowszechniona w kierunku ku dobremu, przyjąć się musi. Albowiem nie chcieć myśleć nad własnem dobrem, równałoby się śmierci. Gdzie ustają pragnienia, tam ustaje istnienie.

Społeczeństwo, które nie wie, czem się może dźwignąć, nazwanoby niedołężnem; ale społeczeństwo, w którem już przynajmniej każdy pięćdziesiąty człowiek inteligentny rozumie, czem może być wielki, czyli fabryczny przemysł dla kraju, musi pragnąć zrealizowania myśli nurtującej od lat dwudziestu kilku. Nie pragnąć bowiem — powiedział niezapomniany Supiński — jest to nie istnieć. Kiedy zaś do koła nas wszystkie społeczności, kraje, prowincje podnoszą się i potężnieją dobrobytem, u nas pocieszają się ludzie już wprawdzie nie przeżytem „jakoś to będzie“ — ale niemotywowanem: „tak źle jeszcze nie jest“. Tymczasem pod względem ekonemicznym, jest naprawdę źle. A źle po prostu dlatego, że nigdy zasoby płodów surowych nie dadzą takiej wartości, jaką dają płody przetworzone, wyprodukowane z surowców znikomych na rzeczy pierwszych i pospolitych użytków, lub na przedmioty wykwintne, fałszywie nazwane zbytkowemi. Niema bowiem zbytku dla ludzi zamożnych. Ale zamożność i wielkie zasoby, czyli majątki, nie urosną z płodów surowych. Prosimy tylko zamienić korzec pszenicy na pieniędze. Zyskamy co najwyżej 12 złr., podczas gdy za lampę, nie zbyt jeszcze wykwintną trzeba zapłacić 14 złr. To jedynie dla przykładu próbka, jaki haracz w czasach dzisiejszych opłaca kraj, nieposiadający własnego przemysłu.

Wrotysz.

(Dok. nastąpi).

Dżuma.

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. okazowy).

Że zaraza może pojawiać się najprzód u szczurów, zanim wystąpi u ludzi, jest faktem dość często obserwowanym i dość łatwo zrozumianym, jeżeli weźmiemy na uwagę, że w kanałach, dołach kloacznych i śmieciskach, gdzie zwierzęta te żyją, znaduje się mnóstwo substancyj organicznych gnijących i stanowiących doskonałe podłoże, na którem wybornie rozwijają się wszelkie bakterje i dokąd przedewszystkiem zarazek dżumy najłatwiej się dostaje. Przy znanej żarłoczności szczurów, które pożerają nawet słabsze osobniki, łatwo wyobrazić sobie, jakie spustoszenie szerzy wśród nich, raz wybuchła epidemja. Opuszczają one tłumnie swoje kryjówki, nie zdradzają obawy przed ludźmi, wykonują błędne ruchy i giną całemi masami. Koch twierdzi, że mieszkańcy wschodniej Afryki, każdy pomór szczurów uważają, jako zapowiedź wybuchu zarazy i najśpieszniej opuszczają swoje chaty. — W każdym razie, pojawianie się epidemji u szczurów dowodzi, że zarodki jej istnieją już w danej miejscowości od dłuższego czasu, bądź to w artykułach spożywczych, bądź to w innych przedmiotach handlu, a nawet biorąc na uwagę — dość długi przeciąg czasu, jakiego potrzebuje zarazek do rozwinięcia się w organizmie człowieka, tak zwane stadjum inkubacyjne, wynoszące 3 — 11 dni, nie możemy być pewni, czy pomiędzy ludnością, nie istnieje już ktoś, który stał się punktem rozejścia zarazy. W lekkich bowiem formach choroby, pacjenci doznając początkowo nieznacznych tylko przypadłości, jak niedyspozycje żołądkowo, ból głowy, dreszcze, czują się względnie zdrowi i przez kilka dni mogą szerzyć zarazek, nie przypisując tym objawom żadnego, ważniejszego znaczenia. Z wystąpieniem obrzęku gruczołów limfatycznych, gorączki, z pojawieniem się ropni, dopiero objawia się właściwy charakter choroby, naturalnie ze względu na otoczenie, aż nadto późno.

Twierdzenie zatem, jakoby szczury stanowiły zawsze punkt wyjścia epidemji, jest najzupełniej mylne.

Że ze względu na ilość swą i łatwość, z jaką ulegają zarazie, są rozsadnikami jej bardzo niebezpiecznymi, to jest rzecz niewątpliwa, ale że nie wyłącznymi, to pewna, gdyż taką samą rolę odgrywa wszelkie robactwo domowe, jak to już niejednokrotnie stwierdzono. Tępienie szczurów może niewątpliwie wpłynąć korzystnie na ograniczenie szerzenia się dżumy, ale całkowite wytępienie szczurów nie jest równoznacznem z zupełnem jej wygaśnięciem

Ujmując w całość wyżej przytoczone uwagi, stwierdzić można, że zarazki dżumy trojaką drogą do organizmu się dostają, a mianowicie przez skórę, jeżeli ta przypadkowo przedstawia najmniejszą choćby przerwę w swej całości, np. zadraśnięcia, drogą pokarmową przez żołądek i drogą oddechową, a więc przez płuca. W każdym z tych trzech kierunków należy zatem działać zapobiegawczo, proptylaktycznie, a więc w pierwszym rzędzie pielęgnować i szczególniejszą zwracać uwagę na skórę W czasach dawniejszych nacierano nawet całe ciało oliwą, sposobu tego jednak dzisiaj zaniechano, zresztą bardzo słusznie, gdyż jedynie skrupulatna czystość daje najlepszą rękojmję uniknięcia zakażenia.

Dr. Henzel.

(Dok. nastąpi).

WESOŁY KURJEREK.

Na ulicy.



— O! djabelniem się omylił!... Nie trzeba nigdy kobiety sądzić po nogach...

— A mężczyzny po głowie...

Cieszmy się!

Ciepłe noce dają nura,
Kończy się wilegiatura,
Gaudeamus więc *igitur*...
W otoczeniu wszech konfitur,
(Jest to niewiast słaba strona).
Już zjechała ze wsi żona.
Październik posępny leci,
Ogorzałe zjadą dzieci,
Te aniołków *alter ego*,
Bo na świecie nic trwałego.
Nic trwałego, moi mili...
Setka potrzeb wam zakwili...
Lecz rozpaczy milknij dzika!...
Lwów będzie miał lombardnika —
Magistrat da to narzędzie...
Mając mężów, nas na względzie ..
Przyjść z pomocą więc nam życzy
I otworzy dział „dziewiczy“...

Obrazowe określenie.

— Czy też pani nie spotyka się z Karolową, bo ja nie widziałam jej już z pół roku i nawet nie wiem, czy żyje?

— Moja pani, ona teraz tak wygląda, jak ten dom na Sykstuskiej, który po rozebraniu sąsiedniego domu, został bez szczytowej ściany.

— Co! co?

— A tak, biedna Karolowa musiała rozejść się ze swoim mężem.

Kobieta i koza.

Raz usłyszał mędrzec wschodni,
Gdy tam wyrzekł ktoś, o zgrozo!
Że różnicy nie ma żadnej,
Między kobietą, a kozą.

Nad różnicą wielki mędrzec
Suszył głowę swą sędziwą,
W końcu znalazł tę różnicę,
A doprawdy jest prawdziwą:

Rogi swoje koza sama
Nosi, chociaż się znarowi —
Zaś kobieta, kiedy bryknie —
Każe je nosić mężowi...

Koziołek.

Czas to pieniądz.

(Farsa w trzech godzinach)

Godz. 5-ta.

Interesant Czy mogę widzieć się z panią X.?

Lokaj. Nie można, bo w tej chwili fryzjer zaczął panią czesać.

Godz. 6-ta.

Interesant. A teraz mogę się widzieć z panią X.?

Lokaj. Nie, panie, bo fryzjer w najlepsze panią czesze.

Godz. 7-ma.

Interesant. No, chyba już mogę widzieć się z panią X.?

Lokaj. Ale gdzieżtam, fryzjer dopiero zaczął kończyć panią czesać.

Karlsbadzka wendeta.

Właściciel kilku kamienic w mieście, powróciwszy w tych dniach z Karlsbadu, wszystkim swoim ubogim lokatorom, płacącym miesięcznie, na przyszły miesiąc podniósł znacznie komorne.

— Litości!!! — jęknęli chórem biedni lokatorowie.

— Tak, litości! — odrzekł niezłomny kamienicznik — a nademną miał kto litość, jakiem ja w Karlsbadzie za mały i ciemny pokoik płacił 30 guldenów tygodniowo?

Z teczki umierającego dekadenta.

Umieram, ale w dali mrocznej sinopióry,
Sto gwiazd podąża do wrót Penelopy,
Kędy różami umajone stropy
I kędy tęsknią za słońcem lazury.

O góry! góry! — wy niebieskie góry —
Do was umarły podąża krokodyl,
Gdy zawadziwszy w stajni głową o dyl,
W niebytu otchłań wznosi się ponury...

Bo kiedy dziecię złożone w kolebce,
Nie władnąc mieczem, nie wierząc w dynamit —
Już stopą żmiję lubieżności depce,
Nie wolno marzyć u sennych piramid —

Nie wolno wołać na zbójców: „pochlebce!“
Bo w sercach żyje biblijna Sulamit...

(Mimo wszystko:
Poeta żyje,
Pije
Rzadko się myje
I tyje...

Przyp. Red.)

Wreszcie — porozumieli się!..

— Panie kochany — pan się spóźnił do biura.

— Przepraszam pana radcę, ale żona moja miała słabość...

— A tak!...

(*Za parę dni.*)

— Znowu się pan spóźniłeś!...

— Pan radca wybaczy — żona miała słabość...

— Ale o! no — no...

(*Znowu za parę dni.*)

— E, proszę pana, pan późno przychodzisz — dopókiż to będzie?...

— Kiedy, proszę pana radcy, żona znowu miała słabość...

— Cóż u djabła! Co kilka dni słabość? A cóż ta pańska żona robi?...

— Jest akuszerką, proszę pana radcy...

— A niechże pana dunder świśnie.

Na wystawie obrazów.

— Czy nie uznaje pan, że ten obraz zasługuje na uwagę?

— Owszem, nawet na kilka... uwag!...

— Ten obraz najlepiej przedstawia się z odległości.

— Ja też już — wychodzę...

Iskierki.

Jeszcze się ten nie urodził, ktoby wszystkim dogodził.

Dama, doświadczona w sprawach małżeńskich, do damy, niedoświadczonej w sprawach małżeńskich.

— Cóż to, ziewasz?

— Fatalnie się nudzę!

— W trzy tygodnie po ślubie?

— Ach tak, wyobraź sobie, mam męża, który nie myśli o niczem, jak tylko o wykonywaniu każdego mego kaprysu. Ciągle grzeczny, nadskakujący, uprzedzający myśli... W pierwszym tygodniu bawiło mnie to, w drugim zobojętniało, a w trzecim nudzi mnie tak, że poprostu wytrzymać nie mogę...

Ze wspomnień z podróży po Rivierze.

Pociąg sunie całą siłą pary. Podróżny A., odwracając się od okna, do podróżnego B., zagłębionego w czytaniu:

— Łaskawy pan może mi objaśnić, gdzie znajdujemy się w tej chwili?

— Owszem, w tej chwili jesteśmy: Baedecker, stronnica 38.

Niepodobieństwo!

Iks na polowaniu przestrzega stale zasady »nie zabijaj«. Od początku sezonu włóczy się niezmordowanie po polowaniach, a przez cały sezon, nie udało mu się popełnić, ani jednego morderstwa na zającu, lub koropatwie.

Wreszcie, do duszy niefortunnego Nemroda wstępuje zwątpienie.

— Nie, moi panowie — rzecze wkońcu do współtowarzyszów wypraw myśliwskich — wszystkiemu uwierzę, ale nie uwierzę nigdy, aby mogły istnieć narody żyjące tylko z... myśliwstwa!...

Ślubna sukienka.

Powiastka z warszawskiego bruku

przez

Annę Neumann.

(Dalszy ciąg. Patrz Nr. okazowy).

Wieczorem późnym, po nad niskim, kulawym stolikiem, przy małej dość ciemnej lampce, siedziała w swej izdebce młoda hafciarka, z zaczerwienionemi oczami ślęcząc nad mozolną robotą. Powoli, białe lilje i wijące się na atłasie gałązki, wyrastały z pod jej szczupłych, zręcznych paluszków. W świetle lampy zarysowywał się regularny profil jej powabnej, na wpół dziecięcej twarzyczki. Janina nie była piękną, ale miała tyle wdzięku w całej postaci, tyle powabu w rumieniących się jak wiśnia usteczkach, w błyszczących ciemnych oczach, iż każden, kto na nią patrzył, mimowoli pomyśleć musiał: „Jakież to ładne dziewcze“, choć trudnoby mu przyszło powiedzieć, w czem wdzięk ten polegał: czy w jasnych, jak złote kłosy warkoczach, czy w ciemno błękitnych oczach, czy w zadartym nieco grubym nosku, czy w tych usteczkach, które zdawały się wzywać do pocałunku. W tej chwili jednak usteczka te smutnie były zaciśnięte, w oczach łzy błyszczały, a w twarzy przebijało się znurzenie i zniechęcenie. Chwilami ręce jej opadały na biały, rozłożony przed nią atłas i oczy spoglądały w dal zamyślone smutnie; to znów po chwili, budziła się z marzenia i z gorączkowym pośpiechem brała się do pracy.

Ślubna sukienka, więc do ślubnej sukni haft ten przeznaczony. W główce Janiny, ileż to myśli dziwnych obudziły te słowa.

I ona marzyła często o ślubnej sukience; nie o takiej bogatej, jedwabnej, ale o skromnej, wełnianej, bieluchnej, jak skrzydło łabędzia.

Ileż to razy, przymknąwszy oczy widziała siebie samą w bieli, w mirtowym wianku, klęczącą przed ołtarzem; a obok niej..., on... jej Henryk ukochany... Ach Boże! czyż ujrzy go jeszcze kiedy? — i łza błyszcząca, ciężka, gorąca potoczyła się zwolna po różowej twarzyczce dziewczęcia, otarła ją szybko, bojąc się, by nie padła na robotę.

Ach! te wspomnienia, jakże jej ciężkie były; czy otrząśnie się z nich kiedy?

Dwa lata minęło tej wiosny, jak pewnej niedzieli, swobodna i wesoła, wraz z z matką, która żyła jeszcze wtedy, wybrała się Janina na wycieczkę do Wilanowa.

Wycieczkę urządzali uczniowie uniwersytetu, a kto chciał mógł się do niej zapisać. Na wycieczce przedstawił jej się młody człowiek słuchacz praw, Henryk Pożarski. Tańczył z nią kilka razy i odprowadził tak ją, jak matkę do domu, prosząc, aby mu wolno było powrócić czasami, gdyż jako ubogi akademik mało ma znajomych i smutne w Warszawie prowadzi życie.

Matka Janiny zezwoliła na odwiedziny, uwierzywszy najzupełniej opowiadaniu młodego człowieka — i jakże wierzyć mu nie miała; tak szczerze, tak serdecznie przemawiać umiał.

Coraz to częściej więc zjawiał się Henryk w mieszkanku biednej wdowy, przynosił książki Janinie, wypytywał z zajęciem o jej roboty i o wszystko, co ją otaczało. Ludzie zaczęli szeptać coś o młodym paniczu, ale matka Janiny zajęta kupiectwem, gdyż posiadała sklepik z bielizną i haftami, nie wiele miała czasu, by zwracać ciągłą uwagę na postępowanie młodego człowieka.

Czasami okazywała pewną nieufność Henrykowi, ale ten umiał jednem zręcznem słowkiem uspokoić ją i ująć sobie tak, że stara kobieta sama przyznawała, iż kocha go jak syna.

Zdarzało się czasami, iż młodzi pozostawali sam na sam; wtedy Henryk klękał przed Janiną, przysięgał, że ją kocha, całował jej usta rumiane i tak opanował serce i duszę dziewczyny, że zgodziła się w końcu na schadzkę w jego własnem, studenckiem mieszkaniu. Janina czuła, że źle czyni, nie miała jednak siły oprzeć się prośbom Henryka. On tak umiał prosić, rozkazywać, grozić nawet, że biedne dziewcze jego wolą tylko, jego myślą żyło.

Pamiętała jednak, jak ją zdziwiło zbytkowne urządzenie w pomieszkaniu młodego studenta; po raz pierwszy wtedy przyszło jej na myśl, że Henryk umyślnie, jako ubogi akademik się przedstawił.

Nieśmiało zagadnęła go oto, ale zbył ją uśmiechem mówiąc, iż po wuju swym odziedziczył wprawdzie bogate sprzęty. ale majątku nie posiada. A gdy wypytywała go o zamiary jego na przyszłość, odpowiadał wesoło:

— Dziecko jesteś, któż z nas wiedzieć może, co go czeka nazajutrz — pocóż myśleć o tem. Ot, korzystąjmy lepiej z dnia dzisiejszego i... kochajmy się.

I pocałunkiem zamykał jej usta,

Jednakże, w domu biednej wdowy rzadziej się teraz ukazywał; matka Janiny niepokoiła się tem i powtarzała często.

— Oj! coś twój Henryk zapomina o tobie; pewno znalazł sobie piękniejszą, bogatszą. Tak, tak; nie dla mojej Janki, panicz taki!

— Uczy się i czasu nie ma — odpowiadała Janina i spuszczała oczy, bo się bała, że matka z nich całą prawdę wyczyta.

Ale pewnego tygodnia nadaremnie czekała na Henryka — parę razy w zwykłych godzinach wybiegała na umówione miejsce ich schadzek, ale na próżno, Henryk się nie ukazał.

Smutne przeczucie ścisnęło jej serce. Odważyła się nawet nakoniec wejść do kamienicy, w której mieszkał młody akademik i zarumieniona mocno, spytała stróża, czy jest w domu ten młody pan z I piętra, ponieważ polecono jej, oddać mu skończoną robotę. Stróż popatrzył na nią chwilę, a potem rzekł, uśmiechając się filuternie.

— A na co to pannie ten panic? kochanek, co? Kiej jego niema, będzie temu tydzień, jak się wyniósł het! daleko, a ten pokój, to juz insa partja zajęła.

— Nie wiecie, gdzie się przeniósł — zapatała znów Janina.

— Kiej nie wiem panienko, ej! nie ma, nie ma panica, posukaj sobie gołąbku insego — i chciał dziewczynę pogłaskać pod brodę, ale odwróciła się dumnie.

— O patscie no ją, jaka harda — zamruczał stróż niechętnie, ale wnet umilkł, gdyż ujrzał w tejże chwili, iż szanowna jego połowica, gruba, rumiana stróżka, wyszła na podwórze, aby patrzeć, z kim jej Walenty rozmawia.

Janina odeszła z bólem strasznym, z rozpaczą w duszy. Więc to prawda było; wyjechał, czy umknął przed nią, bez słowa pożegnania, porzucił ją, opuścił, więc nie kochał nigdy!

O! i ona już go nie kocha, nienawidzi go, pogardza nim i sobą. — Ale pocóż przysięgał, pocóż przyrzekał i pocóż ona mu wierzyła. Nikczemny! czyż nie pomyślał, że ją zabić mógł tą zdradą, tem milczeniem... Ale nie, to być nie może; Henryk powróci, pewno wyjechać musiał nagle, do rodziny... do przyjaciół, któż to wiedzieć może.

Ach! gdybyż to przeszłość powrócić mogła, inaczej by teraz z nim postępowała, byłaby dumną, nieprzystępną... Niestety... czuła to dobrze, że gdyby przeszłość istotnie powrócić mogła, wierzyłaby znowu i kochała znowu, jak dawniej...

I tak, pomiędzy nadzieją i rozpaczą, smutne chwile pędziła, pochylona nad robotą swoją, kryjąc przed matką łzy i smutek

Czasami czuła gorące pragnienie, zwierzenia się komukolwiek ze swych myśli, ze swej niedoli; wyspowiadania się matce z całej tajemnicy.

Połajałaby, przeklinała może, ale przebaczyłaby w końcu i dopomogła, doradziła, czy i gdzie odszukać Henryka, jak pytać o niego.

Jednakże, ile razy stanęła przed matką, tyle razy słowa zamierały na jej ustach i Janina uciekała jak najspieszniej do swej izdebki, aby tam wypłakać się do woli.

I kto wie, jakby w końcu zakończyła się była ta walka wewnętrzna, bo dziewczyna z dniem każdym stawała się smutniejszą i bledszą, gdyby nagle nieprzewidziany wypadek nie nadał innego kierunku jej myślom. Matka zachorowała ciężko. Długo tajone cierpienie zaczęło gwałtownie szarpać jej siły. Przywołany lekarz pokiwał głową i oświadczył, że użyje wszelkich możliwych środków, ale że w każdym razie choroba pociągnie się długo i wymagać będzie starań ciągłych.

Ciężkie wtedy zaczęły się chwile dla biednej Janki. W sklepiku gospodarowała sąsiadka, a gospodarowała w ten sposób, że dochody zmniejszały się z dniem każdym. Trzeba więc było sklepik zamknąć, podokończać wszystkie roboty i postarać się o fundusze na codzienne wydatki, które coraz były znaczniejsze. Napisała w końcu Janina do stryja. swego w Kaliszu, donosząc mu o smutnem swem położeniu. Jednakże stryj, sam obarczony liczną rodziną, szczupłe mając fundusze, nie wiele mógł jej dopomódz. Zresztą, od dawna żył w niezgodzie z siostrą. Przyjechał, obejrzał sklepik, przeglądnął książki i doradził Janinie, aby magazyn wyprzedała, albo odstąpiła, a spłaciwszy ciążące na nim długi, fundusik umieściła w banku i czekając lepszej chwili, — starała się wyżyć z procentów. — Janina, po spłaceniu wierzycieli, zaledwie parę set rubli uratować potrafiła. Trudno było utrzymać się z odsetek, tem bardziej, że przy chorej, nie wiele miała czasu do pracy i nic prawie nie zarabiała. Trzeba więc było pokrywać wydatki kapitałem. Z trwogą patrzyła Janina na gasnące siły matki i z przestrachem widziała topniejące z dniem każdym fundusze.

W takiej to chwili, odebrała dnia pewnego list dość gruby z pieniędzmi. Podane na rewersie nazwisko nadawcy, było jej zupełnie obce, na pieczątkach jednak poznała herb i monogram Henryka. Rozerwała szybko kopertę, w liście jednak, prócz kilkuset rubli, nie było ani słówka, ani wzmianki, od kogo dar ten pochodzi.

(D. c. n.)

Gorzelnie, Browary, Młyny, Tartaki

PERKUN Spółka komand. Fr. Pietzscha
Fabryka maszyn — Lwów (Podzamcze)
Wielka odlewarnia żelaza ul. sw. Mareina l. 11. (7331-20-10)

Zaproszenie do przedpłaty na „Ziemianina.“

Ziemianin, Tygodnik rolniczo-przemysłowy, wychodzi co sobotę w Poznaniu w formacie 1—1½ wielkiego arkusza druku, często z rycinami. Pismo to poświęcone sprawom ekonomicznym wiejskim, wszelkim gałęziom rolnictwa i przemysłu rolniczego, oraz hodowli inwentarza żywego.

Przy „Ziemianinie“ wychodzą trzy *bezpłatne* dodatki:

1) *Rocznik Centr. Tow. Gosp.* zawierający wszelkie rozprawy i wykłady wygłoszone na obradach wydziałowych i sesjach plenarnych Walnego Zebrania Centr. Tow. Gosp.

2) *Przegląd Gorzelniczy,* pismo miesięczne.

3) *Ogród, jako źródło dochodu.*

„Ziemianin“ kosztuje **6** zł. rocznie, półrocznie **3** zł. Prenumeratę najlepiej przesłać przekazem pocztowym wprost na ręce Redakcji w Poznaniu, *Półwiejska 5.*, wtedy odbiera się pismo pod opaską. Ale można także zapisywać przez pocztę. (14-3-1)

Redakcja „Ziemianina“ w Poznaniu.

Półwiejska 5.

Fabryka pudełek
i tutek cygaretowych
W. BEŁDOWSKIEGO
„N O R I S“
w Krakowie, Poselska l. 20.

Jak ocenić dobroć tutki cygaretowej

1) Dobra tutka cygaretowa nie sprawia w ustach goryczy, pieczenia w krtani i na języku, suchości i drapania w gardle, wreszcie nie pobudza do kaszlu.

2) W czasie palenia, bibułka nie powinna naciągać tłuszczem i nie czernieć.

3) Spala się równo z tytoniem, zaś **popiół tytoniu** powinien być **jednostajnej barwy popielatej,** a nie pokryty **czarną żywicowatą** warstwą **zwęglonej bibułki.**

4) Nie powinna być zbyt cienką a przeźroczystą, tylko przeświecające w dotknięciu palcami wilgnąć, bo zawiera CELLULOZĘ (drzewo) i glicerynę. Te spalając się, odurzają i wywołują krztuszenie się, pieczenie w ustach, krtani i na języku.

Powyższe próby oparte na naukowych i ścisłych badaniach chemicznych i fizycznych, oraz na doświadczeniu wytrzymują Tutki cygaretowe fabryka

„N O R I S“

Dla łatwego wyboru tutek polecam:
Tutki „Maïs Numa“, **„Maïs Albert“**, **białe „Noris“** — do tytoni lekkich
Tutki „Maïs Wallis“, **„Mais de Paris“** — do tytoni średnio mocnych

Zwracam uwagę na tutki **„Maïs** gdyż są znakomitej jakości.

Do nabycia w trafikach i handlach
(7095 — 12 — 9).

J. A. Baczewski we Lwowie
(7441-3-3) **c. k. dostawca nadworny.**

SPIRYTUS — NA NALEWKI — NA NALEWKI

Esprit de vin Marque d'or

Pierwszej próby

NAJLEPSZEJ JAKOŚCI

Pocztowa — **5 Kg.** — Pocztowa

blaszanka

SPIRYTUS — NA NALEWKI — NA NALEWKI

Nowa gałęź przemysłu krajowego.

Papier c. k. uprzywilejowanej fabryki bibułek cygaretowych w Sassowie,
istniejącej od roku 1865 przerabia
na bibułki w książeczkach i tutki cygaretowe
wyłącznie znana firma

S. Wierusz NIEMOJOWSKI
WE LWOWIE

Fabryka Sassowska wysyła dotychczas bibułki jedynie tylko za granicę wyrobami swoimi zyskała rozgłos światowy.

Oryginalne papierosy importowe z Egiptu i Turcji wyrabiane są przeważnie **z Bibułki Sassowskiej**. Krocie idą za granicę, a obcy bogacą się naszym groszem, zasypując nas lichymi swoimi wyrobami.

Nie bogaćmy zagranicznych przemysłowców, kupujmy odtąd bibułki i tutki cygaretowe z papieru Sassowskiego wyrobu,

S. Wierusz Niemojowskiego we Lwowie.

Bibułki i tutki cygaretowe z papieru **Sassowskiego** wyrobu S. Wierusz Niemojowskiego, są do nabycia we wszystkich handlach i c. k. trafikach, o ileby zaś takowych nie było, uprasza się odnieść o nie wprost do fabryki. Książeczki wyrabiane są w kilku gatunkach i formatach w cenie po 1, 2, 5, i 10 ct. za książeczkę, tutki zaś od 12 do 18 ct. za 100 sztuk. Stwarzam nową gałęź przemysłu krajowego, która dostarczyć może zarobku setkom naszych robotników, a powodzenie i rozwój tego przedsiębiorstwa opieram na poparciu szerszego ogółu.

☛ Każda etykieta zaopatrzona jest firmą **S. W. Niemojowski, oraz napisem Sassów.** (7340-24-5)

S. Wierusz Niemojowski Lwów, Wałowa 25.

WIELKI MAGAZYN PAPIERU

drukarskiego i listowego, oraz wszelkich gatunków kancelaryjnego papieru: (6—2—2).

FABRYKI BRACI FIJAŁKOWSKICH

z Białej — Bielska

APPERMANN we Lwowie

róg ulicy Hetmańskiej i Łukasińskiego (dawniej Technicka).

Na największe wydawnictwa popularne, luksusowe i wszystkie inne, najobfitsze źródło zaopatrzenia się w piękny, trwały i dobry papier.

Firma posiada powszechne uznanie u pp. Redaktorów, Wydawców i Właścicieli drukarni i dotrzymuje wszelkich zobowiązań z największą akuratnością.

Nowo otworzony magazyn
Ubiorów męskich i dziecięcych
pod firmą
HENRYK DATTNER
w Krakowie. Rynek gł. L. 12.
poleca się łaskawym względom Szanownej P. T. Publiczności
(16—3—1)

Mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, iż objąłem na własność od lat wielu zaszczytnie znany

❄ Magazyn Futer ❄

po ś. p.
P. Czapczyńskim,
który prowadzić będę pod fiirmą
M. A. Augustyn
przy ul. Teatralnej l. 7.
(naprzeciw głównego wejścia do kościoła Katedralnego).

Futra pozostałe do przechowania przez lato po ś. p. P. Czapczyńskim objąłem z masy konkursowej, które za okazaniem dawnych certyfikatów, wydaję.

Zaopatrzywszy mój magazyn w obfity zapas futer i materji na wierzchy, starać się będę uczciwą pracą zaskarbić sobie względy i zaufanie Szan. P. T. Publiczności, której się polecam.

Z głębokim szacunkiem
M. A. Augustyn
były długoletni dysponent
ś. p. P. Czapczyńskiego.
(7468-4-2).

Kazimierz Wojciechowski
w Krakowie
przy ulicy Szewskiej l. 8. poleca
Handel korzeni,
delikatesów i win
oraz (7306-3-3).

POKOJE GOŚCINNE.

Mając na względzie dogodność Szanownej Publiczności, odnowiony i uporządkowany został lokal, urządzając gabinety z osobnem wejściem od ulicy Jagiellońskiej.

Piwo żywieckie i Porter angielski

Obiady w abonamencie
od złr. **9** do **15.**

Pierwszy skład obuwia karlsbadzkiego
(7387-4-4)

ADOLFA LONKERA

Lwów, Karola Ludwika l. 21.
Obuwie tylko ręcznej roboty dla pań, panów i dzieci. Najnowsze fasony i olbrzymie zapasy. Ceny najniższe, fabryczne, wciśnięte wraz z marką ochronną, w podeszwie każdej pary.

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Teatr. Pomysłowość i dobra gra aktorska nie na wiele się przydadzą, jeśli autor każe im robić szampańskie wino ze słodkawej limonady. Tak się stało ze sztuką niemieckiego autora Fuldy: *Koledzy szkolni*, którą widzieliśmy na lwowskiej scenie po raz pierwszy w zeszłym tygodniu dlatego, żeby ją nigdy nie zobaczyć. W ogóle, wartoby zbadać powody, które skłaniają dyrekcje naszych większych teatrów do wystawiania sztuk niemieckich niczem, a niczem nie zalecających się do grania? Fulda np. ma szczęście do scen polskich, a zyskalibyśmy, choćby na miejscu, gdyby go wcale nie było. Jego *Koledzy szkolni* upadli w Warszawie, przewrócili się w Krakowie, położyli się również i we Lwowie — nie mieli też powodzenia i w swoim Vaterlandzie — a jednak, inspektorat artystyczny w Warszawie wyprowadził ich na scenę »Rozmaitości« wówczas, gdy zapewniają tamtejsze pisma, iż całe tuziny oryginalnych sztuk leżą, o całe niebo lepsze od *Kolegów* p. Fuldy.

Uległ, widocznie, sztucznej reklamie teatr lwowski i nie potrzebnie wystawił tych *Kolegów*. Jest to, niby komedja, niby farsa, niby coś bez czegoś z czemciś, gdzie absolutnie o nic nie chodzi. Zahaczyć się niema o co. Marne to wszystko, oklepane — istna lura piwa rozprowadzona wodą. A ten romans stenografistki z takim, co się nie chce żenić — po prostu głupi. O ileż wyżej stoi *Klub kawalerski* Bałuckiego i, o ile jest świeższy, chociaż ze dwadzieścia lat wcześniej napisany!...

Nie pomogło, tedy, *Kolegom* pięknie, z przepychem ubrana scena, co, zresztą, wynikało z akcji, bo rzecz dzieje się przez cztery akta w domu bogatego młodego człowieka — nie pomogła pełna werwy, spoista gra artystów, ani nawet pochwycona i w pewien typ ścięta gra p. Feldmana w roli »człowieka moderne« — wszystko poszło na marne i zamiast kondolencji autorowi niemieckiemu, wyrażamy przyjemną nadzieję, że go nie tak prędko spotkamy na polskiej scenie. *Iks Ypsylon.*

Operetka. Ze znanego wodewilu *Niniche*, p. Waldberg wykroił libretto, a p. Heuberger muzykę do operetki *Excellencja*. Silili się, co prawda obydwa na humor i jaskrawość, ale z tego powstała garść powszednich i płytkich konceptów, z kompozycją muzyczną pisaną na słodko-kwaskowatej wodzie.

Wyborny personal naszej operetki nie ocalił *Ekscellencji*. Nadobna Niniche, którą ślicznie, powabnie, a przytem z artystyczną dyskrecją grała pani Kliszewska, nie jest w stanie podtrzymać operetki równie, jak wyborny i charakterystyczny komizm p. Myszkowskiego w tytułowej roli, oraz z dużym humorem i werwą grane: przez p. Boguckiego: kąpiolowy Grzegórz i panią Kasprowiczową: madame Silery — wdowa. Ładnie śpiewa i dobrze gra p. Malawski Anatola. Powabnie grają i ślicznie wyglądają panny: Schuppówna i Miłowska. Humoru dużo w grze pp. Kiczmana i Lelewicza. Są też piękne tańce z brawurą wykonane przez pp. Bogdanowiczównę, Staszkównę, Solnickiego i Sachsa. Wystawa *splendide!*.. Dzielnie dyryguje operetką p. Słomkowski. *Be.*

Córki pana Dupont, komedja Maurycego Brieux, odegrana po raz pierwszy dnia 4. października, to ściśle biorąc nie komedja, ale uscenizowanie tezy. Chciał autor za dużo powiedzieć, a mimo to ukryć tendencję. Tymczasem, tendencje wyłaziły wszędzie, a chromała sztuka, którą ratuje tylko koncertowa, misterna, a nawet wykwintna gra naszych artystów. Tytuł: *Córki*, ale mogła być i jedna tylko córka, bo dwie niezamężne, to staraże, potrzebne autorowi do wykazania, że źle kobiecie bez miłości, ale źle i z miłością. Zasadniczy temat zużyty, ale z tego zarzutu czynić nie można. Hipokryzja, filisterstwo i finezja, by się nawzajem wyprowadzić w pole przy łowieniu z jednej strony posagu dla papinka egoisty, a z drugiej pochwycenia męża dla panny, która gotowa kapitulować, bo lato panieństwa bliskie — to główne założenie. Przeprowadzone to w sztuce z talentem. Ale uważny widz może mieć inną pretensję do autora. Są tam objawy tak przedpotopowe, że pomimowoli zapytujemy: kiedyż u licha pisał autor swoją komedję? Francuzi naprzykład mówią o emancypacji kobiet i w ogóle o prądach feminizmu, jak o żelaznym wilku. Za to brutalność młodego dorobkiewicza i zmysłowego synaczka chciwej i despotycznej mamuni tak jaskrawa, że znowu pytamy: ażaliż człowiek inteligentny, lubo dorobkiewicz, może być takim tatarem? i to tatarem z czasów jasyru.

Dzięki jedynie starannośći dyrekcji w wystawieniu sztuki i gorliwości artystów, huczał przepełniony amfiteatr oklaskami. P. Fiszer, jako Dupont był wcieleniem filisterskiej cnoty z domieszką dobroduszności i nieświadomości naiwnej na punkcie tego, co zgodne z etyką, uczuciem itp. zaletami ojca rodziny. Doskonale to uwydatnił, gdy oświadczał, że miał przecie obowiązek wypędzić córkę z domu, skoro upadła. Z trudnego zadania żony Duponta, kobiety cichej, z sercem, wywiązała się pani Cichocka z taką precyzją, że podziwialiśmy jej niemą, a jednak ogromnie plastyczną grę z najgłębszem uznaniem. Julją, ową córką, którą Dupont chce po prostu, a jednak zawsze dobrodusznie sprzedać — była pani Stachowicz. Postać ta przez autora prowadzona przez rozmaite fazy uczuć, wyszła w grze pani Stachowicz wyraziściej jeszcze, z wszelkiemi odcieniami pragnień, porywów, urażonej delikatności, pokonanej chwilowo dla interesu wstydliwości dziewiczej, doznanej zniewagi, podeptanej godności niewieściej — słowem, widzieliśmy życie harmonijnie, zespolone zarówno w dykcji, jak i grze miarkowanej poczuciem piękna. Fonomenalny zawsze talent pani Zapolskiej uczynił ze stafażu istotę żywą, budzącą sympatję, pomimo, iż tezowa ta postać skazana została przez autora na małomowność. Pani Kwiecińska oddała ze szczerem uczuciem postać Karoliny, istoty tęskniącej do miłości. W pani Gostyńskiej podziwiamy zawsze umiejętność artystyczną przeobrażania się, mimo, iż niekiedy podobieństwo charakterów czyni zadanie takie niezmiernie trudnem. Cieszyły nas więc oklaski, które były objawem nie tylko uznania, ale i hołdu dla jej artyzmu.

Antoni Mairant (p. Wostrowski), lepszym był jako filister narzeczony, niż jako małżonek Julji. Nie jest to zarzut generalny — tylko, gdy się w scenie żywszej, w której są pobudzone uczucia, mówi o »klienteli« — to możnaby nie tak czule to wydawać modulacją głosu. W scenach żywszych był o ile mu na to autor pozwolił — uczuciowym, ale za mało uwydatnił zmysłowość — a takim tatarem uczynił go p. Brieux. Świetnie, po prostu świetnie odegrał p. Jaworski starszego Mairant. Człowiek ten pod dyspotyczną prawicą żony, znosi jej kaprysy i złym zamysłom niereaguje długo, staje się niemal stworzeniem egzotycznem, wegetującem, ale gdy się miara przebrała budzi się dusza ludzka, wybucha zacność. Wszystkie sceny były stopniowane w grze, ostatnia była punktem kulminacyjnym i wypadła — jak już nadmieniono, artystycznie. Role epizodyczne spoczywały w rękach pp. Walewskiego, Kliszewskiego i Kwiatkiewicza. Nie wiele mówiąc powiemy: gdyby nie artystyczne, staranne, z dystynkcją przeprowadzone te role — sztuka straciłaby wiele, a nawet ucierpiałaby, dlatego zasługą jest zawsze niepogardzanie rolami przez autora zaniedbanemi, lub dla stafażu potrzebnemi. Pani Chmielińska była uroczą żoną Poncheleta — słowem, całość harmonji pełna, a z zadania niewdzięcznego, miły obrazek stworzyli artyści, mimo, iż sztuka kończy się dyssonansem, bo pessymistyczną sentencją, jakoby małżeństwa były przedpiekłem. *Boleszczyc.*

Sprawa dyrektury w lwowskiem Towarzystwie muzycznem.

W sferze instrumentów dętych, rżniętych i gardlanych — szaleje burza, podobna, wprawdzie, do tej, co można ją zrobić w szklance wody, ale burza. Koniec tej burzy będzie zawsze tragiczny — jeden, bowiem, utonąć musi. Czy nurty pochłoną p. Melcera, czy p. Sołtysa?... My należymy do ludzi szczerych i złego nikomu nie życzymy. Niech więc p. Melcer popłynie sobie, zkąd przypłynął!... A jakby utonął — to cóż robić? »niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba!..« Ale p. Melcer mógł się przekonać o jednej rzeczy: arogancją nie zajeżdża się daleko. Można, wprawdzie tą szosą jechać kawałek, ale gdy pchają cudze ręce — skoro przestaną, a własnej siły niema, staniesz i porośniesz mchem na miejscu. Pan Melcer spotkał się w całej prasie z protestem przeciwko jego kandydaturze na dyrektora lwowskiego Tow. muzycznego. Pan Melcer wie, co to jest harmonja? A zdaje nam się, że nie dobrze byłoby, aby zastosowano do niego »kontra-punkt«... Gdyby p. Melcera przeforsowano na dyrektora — nie ulega wątpliwości, że dopiero wtedy zaczęłaby burza szaleć nie... w szklance wody... Wtedy p. Melcer mógłby zginąć... nie z honorem ..

= „Neue Freie Presse“ doniosła, że w skutek zbyt ubogiego materjału muzycznego po zmarłym kompozytorze, Janie Straussie, balet tegoż, p. t.: „Kopciuszek“, nie może być wystawiony. Obecnie inne pisma, przemawiając w imieniu wydawcy, protestują przeciw takiemu twierdzeniu, dowodząc, że olbrzymia ilość, około 1.000 szkiców znalezionych w tece Straussa, starczy nie tylko na jeden balet, lecz i na mnóstwo drobnych pojedyńczych numerów muzyki tanecznej. Ostatecznie, cały ten materjał został złożony w ręce Bagera, autora „Wieszczki Lalek“, z poleceniem ułożenia, instrumentowania i w razie potrzeby, uzupełnienia muzyki do „Kopciuszka“.

= Dziennik heidelbergski ogłasza, iż pewien zbieracz autografów, niejaki Palme, odnalazł dziwnym trafem, autentyczny rękopis muzyka Szuberta. Takowy stanowić ma marsz na dwa fortepiany (na 8 rąk), z podpisem autora i datowany z Wiednia w listopadzie 1825 roku. W jednym rogu mieści się ołówkiem napisane nazwisko Hüttenbremer (był to znany poeta, wielki przyjaciel Schuberta), oraz wyraz „Schwemmer“, mały grzyb, przezwisko, pod którem nieśmiertelny mistrz, niskiego wzrostu, a dość krępy, zwanym był przez swoich najbliższych.

= Juljusz Massenet, nie poprzestając na wawrzynach „Kopciuszka“, napisał świeżo oratorjum biblijne, p. t.: „Ziemia obiecana“, podzielone na trzy części: „Horeb“, „Jericho“ i „Kanaan“.

Echa zamiejscowe.

Z Krakowa.

Kraków po powrocie z kąpiel i letnich siedzib, tudzież po rozpoczęciu roku szkolnego, przybrał dawną swoją fizjognomię i chyba to się zmieniło, że bruki nasze, które już od dawna pozostawiały wiele do życzenia, po zaprowadzeniu rur wodociągowych, przybrały takie formy, jak gdyby usiłowały naśladować i to nie bez dodatniego rezultatu, panoramę tatrzańską. Ale snać, że to już jest losem wszystkich miast, bo i u was we Lwowie nie dzieje się inaczej, że zanim mieszkańcy napiją się wątpliwego smaku wody z wodociągów, niejednokrotnie przedtem muszą na ulicach powybijać zęby, lub łamać nogi.

Przybyli też do nas na zjazd dziennikarze, gdyby wedle bruków mieli sądzić o serdeczności naszego przyjęcia, bardzo niefortunne mieliby o nas wyobrażenie. Być też może, że posądzać nas będą, że dla tego mamy takie złe bruki, aby utrudnić panom socjalnym demokratom demonstracje uliczne.

Zjazd dziennikarzy, którego przebiegu szczegółowo opisywać nie będą, gdyż jest z licznych sprawozdań znanym, pomimo, że władze co do tego zjazdu czyniły pewne trudności, wypadł świetnie. Uczestników była mnogość, a nastrój był w ogóle podniosły. Częste urządzanie takich zjazdów, przyczyniłoby się do pokrzepienia ducha, do wzmocnienia sił do dalszej walki, wyjaśnienia nieporozumień, a być może, że wzajemne zapoznanie się dziennikarzy, złagodziłoby ton, w jakim niejednokrotnie prowadzone bywają polemiki, które z powagą stanu naszego się nie zgadzają, a na czytelnikach sprawiają, jak najgorsze wrażenie.

Teatr nasz cieszy się ciągłem powodzeniem. Farsa *Anonimy* bardzo się podobała, chociaż gra artystów, prócz może p. Wojnowskiej, pozostawiała nieco do życzenia, zwłaszcza z powolnem tempem gry, zgodzić się nie możemy.

Takie farsy, jak *Anonimy*, wymagają odpowiedniego temperamentu i powinny być grane z niezwykłą szybkością, by widz nad tem, co się dzieje na scenie, nie miał wiele czasu do rozmyślania, a w przeciwnym razie farsa traci urok. Sztuka *Frazesowicz* z konkursu Paderewskiego, nie podobała się, jak również *Podporom społeczeństwa* Ibsena, długiego żywota na naszej scenie przepowiadać nie można. Na uczczenie zjazdu dziennikarzy, odbyło się w teatrze przedstawienie, na które składały się: — *W beczce Djogenesa* — Jarosława Vichlickiego, I akt *Mazepy* Juliusza Słowackiego i odsłona z *Kościuszki pod Racłowicami*. Teatr był przepełniony, gości przyjmowano z entuzjazmem, idjotyczny okrzyk jednego z towarzyszy partji socjalno-demokratycznej, mający na celu obrazić przybyłych gości, nie zdołał zepsuć podniosłego nastroju i przeszedł zupełnie niepostrzeżenie. Ponieważ już o teatrze mowa, nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę p. Kotarbińskiego, że w teatrze krakowskim stało się regułą, iż podczas przedstawienia słychać zawsze pierwej suflera, niż artystów i że za kulisami nie ma tego spokoju, jaki tam podczas przedstawienia panować powinien. Czy takie głośne podpowiadanie, psujące cały efekt, wobec naszych wytrawnych artystów, jest niezbędne i czy tam za kulisami rzeczywiście tyle jest nagromadzonych matek, ciotek, sióstr i innego teatralnego bagażu, strzegącego cnoty artystek, tego nie wiemy, ale jeżeli tak jest, to jest to rzeczą wielce nie właściwą. Dyrektor Kotarbiński, który tak wielce dba o dobro sceny i dla którego wszelkie należy się uznanie, powinien sobie wziąć za przykład dyrektora wiedeńskiego Burgteatru, który pod karą zakazał suflerowi zbyt głośnego podpowiadania i wzbronić za kulisy wstępu każdemu, kto w sztuce nie jest zatrudniony. Cnoty swej bronić mogą same artystki, a że przeważnie są pełnoletnie, czynić to mogą ze skutkiem. Miejmy nadzieję, że te wadliwości wkrótce usunięte zostaną.

A teraz pomówmy coś o budownictwie naszem. Sprawa budowy nowego ratusza, lub przebudowy starego w Krakowie, od tylu lat się wlokąca, weszła obecnie, jak się dowiadujemy, na nowe zupełnie drogi. Kiedy bowiem dotychczas usiłowano zabudować plac magistracki taki, jaki jest, tak niefortunnie połamany i bezkształtny, zawsze brak dostateczego frontu nie dawał możności zadowolenia najważniejszych wymagań. Dzisiaj, zdecydował się Magistrat na utworzenie ulicy nowej, łączącej plac W. W. Świętych z ulicą Poselską. Ulica ta stwarza długi front, który zabudować się da pięknie i wygodnie. Urząd budownictwa miejskiego pracuje gorliwie nad szkicami i planami. Prawdopodobnie, marzenia te zejdą w sferę rzeczywistości, gdyż radcy miejscy pragną szczerze zakończenia namysłów długoletnich, zwłaszcza, że utworzenie nowej ulicy zbyt wielkich nakładów nie potrzebuje, bo tylko nabycia jednej realności, należącej do parafji W. W. Świętych.

Muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie, doczekało się losu nie zbyt pocieszneg. Oto, kiedy Rada miasta, z okazji jubileuszu cesarskiego, przeznaczyła fundusz dość znaczny na budowę gmachu nowego — postanowiono po długich także debatach wznieść go na placu pod Kapucynami. Plac ten, przez otwarcie ulicy nowej od plant ku ulicy Jabłonowskich idącej, miał cztery fronty. Zważyszy, iż Kraków cierpi ciągle na brak placów, można było się cieszyć nadzieją, że bodaj jeden gmach stanie na placu regularnym, czterema ulicami ujętym. Lecz wskutek chęci wyzyskania gruntu *ad minimum*, wzięto się do kawałkowania placu. Wynikły ztąd parcele, tyłami ku pozostałemu placowi o trzech frontach zwrócone. Wtedy to Kraków konkurs ogłosił na projekty architektoniczne. Konkurs przyszedł do skutku — gmina popłaciła nagrody i poniosła liczne koszty; ogłaszając zaś konkurs, postawiła między innymi i ten warunek, że trzej nagrodzeni architekci, staną do powtórnego konkursu ścisłego. Lata upływają, a Rada miasta nic nie myśli o tem, czy uczynić zadość warunkom postawionym przed forum publicznem. Nadomiar zaś, powstała nowa myśl budowania tego Muzeum nie na tym już placu, lecz na placu mającym się utworzyć obok nowego teatru, po zakupieniu go z wielkim nakładem i zburzeniu prywatnych realności. Plac pod Kapucynami, już okrojony, ma być rozdzielony na pojedyńcze parcele prywatne. Znowu ostatni szczątek ziemi przestronnej zniknie w Krakowie, by powietrze zamknąć ciasnemi ulicami.

Jeżeli zaś obok teatru, da się wytworzyć plac nowy, to dla Krakowa tem lepiej na przyszłość. Kraków nie jednego placu będzie potrzebował. O ile zaś wiemy, do utworzenia tego placu, gmina ma pokonać trudności zbyt przewlekłe, tak, że posiadanie jego będzie możliwem dopiero po wielu latach. Na tak długie tułactwo będzie przeznaczone Muzeum. Tak długo plac pod Kapucynami świecić będzie tyłami domów prywatnych i tak wreszcie długo warunki konkursu mają być w zawieszeniu.

Jeżeli Rada miasta plac pod Kapucynami okroiła jednym bokiem dlatego tylko, aby nie budować gmachu, zupełnie wolno stojącego, lecz jedną stroną przypartego do realności zamkniętych, jeżeli Rada miasta uczyniła to ze względów na słuszne oszczędności, zwłaszcza, iż na budowę Muzeum niema jeszcze pieniędzy wszystkich, to o ileż kosztowniejszym, lecz zbytkowym będzie gmach muzealny, tuż pod bokiem teatru wznieść się mający? Przybywa tu koszt zakupna realności i placów prywatnych bardzo drogich — przybywa potrzeba budowania gmachu, jako wolno stojącego, przybywa ozdobienie czterech fasad gmachu i ostatecznie przybywa większa miara bogactwa estetycznego, aby Muzeum godnie obok teatru się znalazło. Muzeum techniczno-przemysłowe, obok Wszechnicy Jagiellońskiej, to całość dostrojona wcale harmonijnie. Ale Muzeum techniczno-przemysłowe obok teatru, nie wiemy, czy plac ten ożywi?

Smok.

Z Poznania donoszą nam:

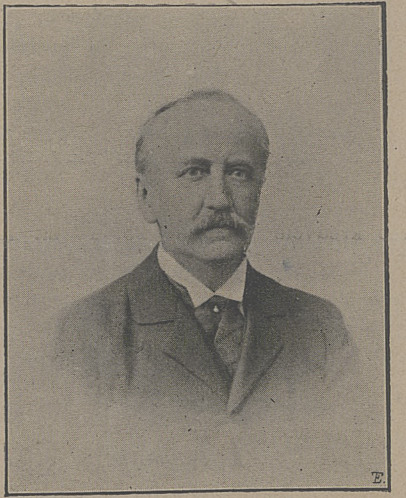
Posener Ztg. nawraca znowu do stosuku między księżmi, a ludem polskim, tą razą podnosząc różnicę między polskimi, a niemieckimi katolikami. Jest w tym artykule mowa o arcybiskupach śp. ks. Dinderze i ks. Stablewskim, śp. ks. biskupie Rednerze, o ks. Kubocie z G. Szląska, wiecu katolickim w Nysie i o tem, że górnoszlązacy gotowi byli żądać w końcu i tego, żeby im na wiecu w Nysie zaśpiewano »Jeszcze Polska nie zginęła«. Czego w tym artykule nie ma!

W Śremie zapadł wyrok na starców i kaleki, oskarżonych o bunt przeciw władzy tamtejszego szpitala. Trzech otrzymało po jednym roku więzienia, trzech po dziewięć miesięcy, czterech po siedm miesięcy, innych uwolniono. Jeden z oskarżonych umarł w śledztwie na udar sercowy. Prokurator przemawiał przeciw przyznaniu okoliczności łagodzących; świadectwom oskarżonych o nadużyciach w zakładzie, sąd nie uwierzył i uznał je za fałszywe.

W lot.

= Rozprawa gal. Kasy Oszczędności.

Nie naszą rzeczą dawać sprawozdania z toczącej się rozprawy Kasy Oszczędności — należy to do obowiązków, wątpliwej przyjemności, pism codziennych.



EUGENIUSZ WĘDRYCHOWSKI,
naczelny buchhalter,
oskarżony w sprawie Gal. Kasy Oszczędności.

Podajemy w dzisiejszym numerze sylwetki dwojga oskarżonych. Tego rodzaju wizerunki należą do kategorji »ciekawych« postaci, które chwila wyrzuca na widok publiczny, aby... za chwilę wszyscy o nich zapomnieli.

Dwoje oskarżonych: jeden karmazynowy szlachcic, druga... Może nie zupełnie, ale dałoby

się o niej zaśpiewać, jak w »Carmen« : »Miłość to cygańskie dziecię, ani jej ufaj, ani wierz«...

Pierwszego na ławę oskarżonych posadziły, jak to powiadają »interesa familijne«, które każą zawsze wiązać, choć się ciągle rwie — a potem narobi się tyle sypłów, że okręcisz się nimi i zerwać już nie podobna...

Druga zrobiła w życiu »karjerę«... Różne są drogi do niej i rozmaicie się tam dochodzi, ale się dochodzi tak, czy owak..

Trzeci: Karpiński — figura pospolita. Spotkało go, można powiedzieć, małe nieszczęście w szczęściu... Wyzłocony cudzemi rękami sagan gliniany...

Pan Stanisław Szczepanowski, jest czwartym, co siedzi na ławie oskarżonych. Można być jego przeciwnikiem — ale, doprawdy mnie drży ręka i serce tłucze się, gdy mam pisać o nim z tego miejsca i ze środowiska tej olbrzymiej katastrofy, dla której społeczeństwo całe nie może znaleść nawet odrobiny wyrozumiałości i karać musi... »nie ślepy miecz«... A jakżeż to niedawno otwierały się horyzonty szerokie, jasne, pełne słońca dla Szczepanowskiego!... A teraz?... dajmy pokój!...

O samej sprawie — po zapadnięciu wyroku napiszemy obszerniej. Dziś uprzedzać nam werdyktu i wyroku nie wolno.



Stefanja Fuhrman,
oskarżona w sprawie Gal. Kasy Oszczędności.

═ Zaprzeczenie.

Otrzymujemy następujące pismo:

»Wielmożny Panie Redaktorze! Odnośnie do tego ustępu aktu oskarżenia w sprawie galicyjskiej Kasy Oszczędności, w którym jest mowa o kredycie w sumie 43.940 zł. udzielonym mnie i mojemu wspólnikowi dr. Bandrowskiemu, winienem do wiadomości publicznej podać, że w międzyczasie powyższy dług, w części gotówką pokryłem, w części przekazami subwencji krajowej i miejskiej zabezpieczyłem, a na resztę w sumie 17.940 zł. dałem poręczyciela, którego obecny zarząd galic. Kasy Oszczędności uznał za zupełnie pewnego płatnika.

Szczegóły te wykazujące po nad wszelką wątpliwość, że z długu mojego, ani jeden cent gal. Kasie Oszczędności nie przepadnie, stwierdzone będą w toku rozprawy. — Wobec powyższego stanu rzeczy, zwrot reszty długu mego w gal. Kasie Oszczędności z nowym teatrem nic wspólnego mieć nie może.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku *Ludwik Heller*".

Przegląd ze swej strony dopisuje:

»Jest to jedna i jedyna pozycja z uznanych przez c. k. prokuratorję za wątpliwe, która została tak uczciwie i po obywatelsku bez presji wypłacona i w tak szybkiem tempie. P. dyrektor Heller złożył tem dowód, że nie robił długu lekkomyślnie i, że swoim zobowiązaniom zadość uczyni«.

Co prawda, gdyby Zima takie dawał pożyczki, nietylkoby nie było przedstawienia dzisiejszego dramatu finansowego, lecz zasłużyłby sobie na uznanie zwłaszcza, że dyrektor Heller należy do tych ludzi, którzy nigdy i nikomu zawodu nie zrobią, liczą się ze wszystkiem, a rozumem, pracą i zdolnościami wytwarzają kapitał — jednem słowem, jest w społeczeństwie siłą produkcyjną.

═ Paląca sprawa.

Od dłuższego czasu mówi się i pisze o mającym założyć się lombardzie miejskim — ale co innego mówienie, co innego pisanie, a co innego fakta. Lombard jest tak potrzebny miastu, jak wodociągi — potrzebniejszy nawet, bo ostatecznie Lwów ma źródła do picia i nie uschnie z pragnienia, zanim dostanie wody z rur żelaznych — ale niema godziwego źródła, z któregoby ludzie potrzebujący doraźnej pożyczki na ruchomy zastaw, mogli się poratować. Kto ma złoto, srebro, czy klejnoty do zastawienia — to jeszcze nic, ale, gdy zachodzi tak gwałtowna potrzeba, że aż coś z używanych rzeczy trzeba nieść do lichwiarza, to dopiero jest przyparcie do muru. Lombard chroni ludzi od lichwy i od przepadania zastawionych rzeczy, a przytem dla klasy rzemieślniczej w danej chwili zastoju — jest ratunkiem, bo n. p. towar gotowy może w lombardzie za małym procentem zastawić, a potem wykupić prowadząc za pożyczone pieniądze dalej swoje rzemiosło. Zresztą, na to nie potrzeba żadnych argumentów i po prostu wydziwić się nie można — jeżeli nie co innego, że Lwów, posiadający blisko dwa kroć sto tysięcy mieszkańców stałych i nie stałych, niema lombardu miejskiego. W ciągu lat kilkunastu zmieniono aż tylu prezydentów i żaden na serjo i stanowczo nie wziął się do tego, aby przyprowadzić do skutku założenie lombardu miejskiego. W ostatnich czasach, już za prezydentury p. Małachowskiego, zaczęto coś wyraźniej przebąkiwać w tej sprawie, ale na przebąkiwaniu się skończyło..

Pan prezydent sprawę tę powinien wziąść do serca, a błogosławić go będą te rzesze, o których błogosławieństwo poczciwych i spracowanych rąk za mało dbamy — a już miasto nasze, pod tym względem za przykład służyć nie może.

Przegląd polityczny.

Od dnia 3. października ma Austrja i jej kraje koronne nowy gabinet z hr. Clarym-Aldringem, jako prezydentem gabinetu urzędniczego — czyli takiego, który nie powinien mieć żadnej barwy politycznej. Urzędnicze gabinety istnieją dla »załatwiania spraw« z góry wytkniętych i przewidzianych. W obecnej sytuacji sprawy te nie pójdą tak gładko. Opozycja niemieckich hegemonów nie wynikała i nie wynika z potrzeb istotnych, narodowych, ale z buty i ambicji. Niczem bowiem nie nadwereża interesów niemieckich, jeżeli każdy z narodów chce zachować swoje *ja*, swój język ojczysty. Ta prawda atoli nie obowiązuje frakcji, którą jawnie i skrycie wyznaje, że uważa siebie za plemię wybrane, a inne narody za stworzone na podnóżki dla niemców. W obecnem zawikłaniu idzie o to, aby przywrócić powagę, a konstytucji jej prawa. Parlamentaryzm został zburzony przez mniejszość ambitników, a konstytucja naruszona przez słabość większości. Obecnie przechodzą do opozycji ci, którzy stanowili większość z różnorodnych żywiołów złożoną. Na pierwszy ogień mają iść czesi, którzy liczą na poparcie Koła Polskiego. Co uczyni Koło — o tem cisza. Dzienniki jedne konstantują sam fakt trudności położenia, a inne rejestrują tylko głosy dzienników niemieckich. Obawa jest widoczna, — jakby się lękano przewidywań. Przyczyną znana solidarność słowiańska, zobowiązania względem czechów. W tej drażliwości atoli — z jaką się mówi o solidarności słowiańskiej, jest niezmiernie dużo przesady. Jest ona niepolityczna, a niepolityczna dlatego, ponieważ interesa krajów nie są identyczne. Gdyby interesa Galicji ucierpieć miały przez zbyteczną miłość interesów czeskich, to delegac a galicyjska przestałaby być polską dla problematycznej korzyści Czech. Wcześniej bowiem, czy później, czesi muszą odzyskać, co im zastrzega konstytucja. Natomiast Koło Polskie, które nie umiało stanąć w opozycji w sprawach żywotnych kraju — dziś miałoby obowiązek awanturować się po prostu? Tego nie przypuszcza żaden polityk. Czesi zaś chełpiący się rozumem politycznym, powinni wiedzieć, iż żadna reforma na świecie nie przyjmuje się bez wstrząśnień i to gwałtownych. A zmiana języka w urzędowaniu jest taką reformą.

Dla rządu najważniejszem drugiem zadaniem, zatwierdzenie ugody z Węgrami. Wrzawę podnoszą sami niemcy, że węgrzy wyzyskują ekonomicznie Przedlitawję. Trzeba było mieć więcej odwagi przy konferencjach przedugodowych, a nie truchleć na każde pobrzęknięcie szabli madiarskiej. Dziś widzimy tylko skutki polityki zbyt tchórzliwej.

Czas donosi z ubolewaniem:

»Dowiadujemy się ze sfer dobrze poinformowanych, że sanckjonowanie uchwały sejmowej w sprawie pomnożenia posłów z miast i utworzenia nowych pięciu mandatów poselskich z kurji miejskiej, oraz przyznania prezesowi Akademji Umiejętności w Krakowie i rektorowi Politechniki we Lwowie prawa zasiadania w Sejmie krajowym natrafiło na »nieprzezwyciężone« (?!) trudności. Zaiste wydziwić się doprawdy nie można, że rzecz od tak dawna przez wszystkie stronnictwa Sejmu upragniona, odpowiadająca od tak dawna przez wszystkie stronnictwa Sejmu upragniona, odpowiadająca tak gorącym życzeniom kraju, sprawa dla nas tak ważna, a sama w sobie tak mało dla rządu trudności przedstawiająca, natrafiła na przeszkody i t. d.«

Ubolewanie to zapewne znajdzie odgłos w sercach wielu, ale jednocześnie odezwie się w każdej głowie myślącej pytanie: »dlaczego za tyle przysług, upośledzone są interesa Galicji?« — Odpowiedź zaś w stosunkach, które wytwarza nie samo położenie, ale i polityka reprezentacji polskiej w Wiedniu.

W sprawach najbliżej nas obchodzących, powtarza się nie po raz ostatni stwierdzone barbarzyństwo w zapatrywaniach publicystów rosyjskich. Obok azjatyckiego pojęcia o państwie, odzywa się i azjatycka formuła o *poddanych*. Z takimi pięknymi kwiatkami występuje *Nowoje Wremia* powtarzając po raz setny, że Polska musi być zdławiona — bo moskalom za ciasno na świecie... Tylko, że nie wszystkie głosy idą w niebo

Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Największe drzewo na świecie znajduje się na wyspie Sycylji, u podnóża wulkanu Etny, nazwane »orzechem stu koni«. Nazwisko to jego pochodzi od czasu, jak królowa Aragonji Joanna razu pewnego, w czasie gwałtownej burzy, znalazła pod niem z całym swoim stukonnym orszakiem schronienie. Odziemek tego ogromu ma 204 stopy obwodu. Największe drzewo w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki stoi w Kalifornji, a ma 140 stóp obwodu.

Granice ciepła i zimna. Jakkolwiek w ogólności, w miarę zbliżania się do biegunów ziemi ciepłota powietrza obniża się, to jednakowoż obniżanie się to nie jest bynajmniej wszędzie jednostajne, a to z przyczyny nierównego rozłożenia lądów i mórz na kuli ziemskiej. Woda w ogóle łagodzi tak ciepło, jak i zimno, skutkiem czego na półkuli południowej, ani lato nie jest tak gorące, ani zima tak mroźna, jak na półkuli północnej. Najniższe temperatury powietrza zauważano na Syberji wschodniej, na morzu Lodowatem przy brzegach północnych Ameryki, gdzie stwierdzono 71 stopni zimna; naodwrót, największe gorąco spostrzeżono w Afryce środkowej nad morzem Czerwonem, w pobliżu cieśniny Bab-el-Mandeb i na południu Trypolisu. Najwyższą w ogólności dotyczas znaną temperaturą było 67,7 stopni Celcjusa. Pokazuje się z tego, że organizm ludzki może znosić różnicę temperatury, wynoszącą prawie 139 stopni Celcjusza. Ani niskich, ani wysokich temperatur nie potrzeba wszakże szukać daleko, mamy bowiem pierwsze w pewnej wysokości nad swemi głowami, drugie w pewnej głębokości.

Odpowiedzi od Red. i Adm.

Bielutka. Za życzenia dziękujemy, propozycję przyjmujemy, ale niech pani będzie łaskawa pospieszyć się.

R. W. w Krakowie. Nie wiemy o takiem piśmie.

Lubystka. Wierszyk zgrabny, ale jałowy.

Lekarz. Bardzo prosimy.

Prenumerator w Chicago. Z ostatniego numeru poprzednich pism dowiedział się pan o zmianie.

Grono prenumeratorów z pod ciemnej gwiazdy. Serdecznie dziękujemy — dowcipne — skorzystamy.

Gość w Zakopanem. O ile my wiemy, tak źle nie będzie. Skargi na restaurację w *Kasynie* są zbyt częste. Istotnie, *Kasyno* pod tym względem ma *pech*, bo i dawniej nie było lepiej.

C. M. G. w Paryżu. Wysłaliśmy — prosimy o „wiadomość“ wiadomości, szczególniej z tamtejszych teatrów.

Sprostowanie.

W poprzednim numerze zaszła pomyłka, mianowicie w artykuliku o bieżącym repertuarze wydrukowano Schillera, jako autora *Clavigo*, którego napisał Goethe, co niniejszem prostujemy.

Nadesłane.

Zwraca się uwagę na ogłoszenie hotelu Belle-vue, w którym znajdują się kawiarnia i sala restauracyjna przepysznie urządzone, oświetlone elektrycznością, z doskonałą wentylacją. W ogóle, lokal ten robi wrażenie wielkomiastowego zakładu. W celu lepszego urozmaicenia zabawy, grywa muzyka wieczorami. Usługa skrzętna. Ceny niskie. [21-3-1-]

Folwark w powiecie grybowskim, 6 klm. od stacji Bobowyj, w okolicy uroczej, z obszarem 220 morgów, w tem 160 ornej, pszennej ziemi, a reszta lasu. Ogrodu owocowego około 4 morgi. Budynki w bardzo dobrym stanie, wraz z inwentarzem żywym i zasiewami, zaraz z wolnej ręki do sprzedania. Potrzebna gotówka 20.000 złr. reszta Bank. Oferty pod adresem: **Obszar dworski Falkowa, p. Brušnik.** [18-5-1]

HOTEL IMPERIAL we Lwowie, w najpiękniejszej części miasta, na ulicy Trzeciego Maja. Urządzony z **prawdziwym europejskim komfortem, a mimo to ceny przystępne.** Od apartamentów, do pojedyńczych pokoi. Obsługa wzorowa i rzetelna. W hotelu znajduje się restauracja i kawiarnia. Czystość, porządek, akuratność i umiarkowane ceny. [20-12-1]

Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.